

Relacje Interpretacje

ISSN 1895-8834

Kwartalnik Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej

Nr 1 (41) marzec 2016



- W roli głównej: Kazimierz Czapla ● Skiöekumt y Wymysöü ● Czym jest lalkarstwo?
- Chwalebna staroświeckość „Kalendarza Beskidzkiego” ● Teatralne ożywanie klasyki



Julian Jacek Leszczyński: Sprężenie zwrotne

Galeria Bielska BWA – Klubokawiarnia Aquarium

Sprężenie zwrotne, 1981, olej, płótno

Parking, 1983, ekolina, tusz

Znak, 1982, technika mieszana

📷 Krzysztof Morcinek



Okladka

Teatr Polski w Bielsku-Białej: *Lalka*, z Kazimierzem Czapłą jako Wokulskim ☞ M. Stolarska

Wkładka

Julian Jacek Leszczyński:
Sprzężenie zwrotne

Skrzynka wywiadowcza Bochenka

I Żywe zwierzę teatralne
z **Kazimierzem Czapłą**
rozmawia **Mirosław Bochenek**

Na scenie

5 Świat przed zmianą
Magdalena Legendź

Przed festiwalem sztuki lalkarskiej

10 Lalki-maszyny
Jakub Kłeczek

W galerii

14 Iskra boża
Justyna Weronika Łabędź

Polecane miejsca

16 Jak ryby w wodzie
Agnieszka Kobiałka

Publikacje regionalne

19 Ludzie na pierwszym planie
Magdalena Legendź

Bielsko-Biała. Ludzie i budowle

22 Dzwony, krosna, elektromotory...
Rodzina Schwabe
Piotr Kenig



Dzwon z odlewni Georga Schwabego, 1923



Bogaci tradycją

26 Oczy świata na Wilamowice
Rozmowa z **Justyną Majerską**
i **Tymoteuszem Królem**



Zespół Wilamowice ☞ W. Kompała

Wspomnienie nadesłane

31 Żegnaj, Jasiu – duszyczko kochana
Marcin Jacobson

Pożegnania

33 Zapisując tropy
Małgorzata Kiereś, Małgorzata Słonka

35 Rozmaitości

36 Rekomendacje

Galeria/**Wkładka**
Witold Jacyków:
Ludzie i fantomy
Fotografia



Relacje Interpretacje

Kwartalnik Regionalnego
Ośrodka Kultury
w Bielsku-Białej
Rok XI nr 1 (41) marzec 2016

Adres redakcji
ul. 1 Maja 8
43-300 Bielsko-Biała
telefony
33-822-05-93 (centrala)
33-822-16-96 (redakcja)
redakcja@rok.bielsko.pl
www.rok.bielsko.pl

Redakcja
Małgorzata Słonka
redaktor naczelna

Opracowanie graficzne, DTP
Mirosław Baca

Wydawca
Regionalny Ośrodek Kultury
w Bielsku-Białej
dyrektor Leszek Miłoszewski

Rada redakcyjna
Lucyna Kozień
Magdalena Legendź
Leszek Miłoszewski
Maria Schejbal
Agata Smalcerz
Maria Trzeciak

Druk
Times, Czechowice-Dziedzice

Nakład 1000 egz.
(dofinansowany przez
Urząd Miejski w Bielsku-Białej)

Czasopismo bezpłatne
ISSN 1895-8834

Archiwalne numery RI dostępne na
www.rok.bielsko.pl



Śląskie.
Pozytywna energia



Mirosław Bochenek

Żywe zwierzę teatralne

Rozmowa z **Kazimierzem Czapłą**, aktorem

📷 Dorota Koperska

Mirosław Bochenek: Czterdzieści lat minęło...

Kazimierz Czapła: ...jak piękny sen... Udało mi się zagrać przez ten czas jakieś 200 ról! Gratulacje, nagrody, statuetki odebrałem, zaniósłem do domu, rąsie ważnych osób uściskałem, dobre słowa życzliwych mi ludzi zapamiętałem... Ale prawdę mówiąc, nie czuję się aktorstwem zmęczony, nasycony, znudzony... Mnie się chce dalej grać! Nadal jestem żywe zwierzę teatralne! Nie ma się co dziwić, ja tak miałem od dziecka, od małości wręcz.

Przecież w rodzinie Czapłów nie było aktorskich tradycji?

Boże uchowaj! To bardzo porządna rodzina. (*śmiech*) Całe nasze drzewo genealogiczne parało się zawsze konkretnym fachim, wymiernym i przewidywalnym co do zarobków i statusu społecznego. Ale mnie – odkąd pamiętam – ciągnęło do popisywania się przed publicznością. Już jako mały szkrab, zaciągnięty na jakąś imprezę, pokazałem, co potrafię: dorwałem zostawioną bezpańsko harmoszkę i dałem czadowy koncert! Nie umiałem wcale grać, ani za bardzo śpiewać, ale czy to ważne?

I nie krępowaleś się, nie bałeś się, obcych w końcu, ludzi?

Ależ skąd! Tremę to ja mam dopiero teraz, przed każdym spektaklem większą!

No tak, ale wcześniej zdolny Kazio poszedł po nauki do szkół...

Najpierw do podstawówki, to była „11”, a potem do „Żeroma”, w którym zdałem maturę.

I pewno szalałeś jako uczestnik konkursów recytatorskich?

Otóż, nie. Tak około dziesiątej klasy zainteresowałem się zajęciami teatralnymi, które pozalekcyjnie prowadził nauczyciel łaciny, ale też astronomii i fizyki, Zygmunt Klon. To był człowiek o szerszych horyzontach, którego podejście do teatru i młodzieży się podobało, miał pewną charyzmę. Zaczęły się próby, zdobywanie wiedzy o teatrze, w końcu zagrałem rolę w *Kościuszcze pod Racławicami* Władysława Ludwika Anczyca. I już na sto procent wiedziałem, że chcę być zawodowym aktorem. Niestety, nie wszyscy dzielali mój entuzjazm, zwłaszcza rodzice... O ile mama dawała się przekonać, o tyle ojciec zakazał mi pójścia tą drogą i to zdecydowanie! Wiedział, że ze mnie beztalencie techniczne, więc – z dwójga złego – pozwolił mi zdawać egzamin do akademii sztuk pięknych, bo przypomniał sobie, że mam uzdolnienia w rysunku i malarstwie – coś tam wcześniej tworzyłem sobie a muzom. Na szczęście profesorowie ASP byli na tyle rozsądni, że odmówili Kazkowi Czapli studiowania w tej nobliwej szkole.

To tatuś zadowolony nie był...

Aby go uspokoić, że nie będę się płatał bez celu i nie wpadnę w złe towarzystwo, załatwiłem sobie pracę w Befamie – na stanowisku tokarza. Befama to był wtedy pierwszorzędny bielski zakład produkcyjny i nie jeden młody człowiek dobijał się do jego bram, żeby tam pracować. Przeszedłem odpowiedni kurs i w smarach, w maziach różnej maści i konsystencji toczyłem na przydzielonej tokarce foremki, bloczki i co tam było trzeba. I tak przez prawie rok, w dzień i w nocy, bo klasa robotnicza pracowała wtedy na trzy zmiany. Ale nie dawałem za wygraną! Któregoś dnia, po wyrobieniu dniówki, ogolony i odświeżony, udałem się do znanego, cenionego wysoko aktora Mieczysława Dembowskiego. Wsiadłem do tramwaju linii nr 2 (tak, tak, kiedyś po Bielsku jeździło się tramwajami!) i udałem się do jego mieszkania na ówczesnej ulicy Marchlewskiego (boczna Piastowskiej). Przyjął mnie życzliwie, ale nie chciał mnie podszkolić. Dopiero podczas drugiej wizyty, gdy wspomogła mnie mama, zgodził się wziąć mnie na warsztat. A w zakresie warsztatu scenicznego wiedzę miał ogromną. To były lekcje bez taryfy ulgowej i dały mi wiele, otworzyły oczy na to, co mnie czeka.

Czy zdecydowałeś już wtedy, do której szkoły aktorskiej chcesz zdawać?

Wchodził w grę tylko Kraków, PWST w Krakowie. Ojciec, widząc, że nie odpuszczę, zmienił zdanie i oboje

z mamą zaczęli mnie czynnie wspierać, ułatwiać osiągnięcie celu. Wyniuchali, że w Krakowie istnieje coś w rodzaju poradni przedegzaminacyjnej, w której znani i uznani aktorzy, także wykładowcy PWST, przygotowują młodych zdolnych do egzaminu. Na wiosnę mama pojechała ze mną do tej poradni. Mama to była osoba bardzo praktyczna, więc po obejrzeniu syna przez szacowne grono spytała je, czy w ogóle nadaję się na aktora? Bo jak nie, to szkoda czasu na zajmowanie się mną, itd., itp. Ale szacowne grono, między innymi Bogdan Husakowski, odpowiedziało, że tak, i wzięło mnie w obroty na całego! Zdałem za pierwszym razem, a kandydatów było ponad dwustu. I siedemnastu wybrańców, a wśród nich ja – odetchnąłem.

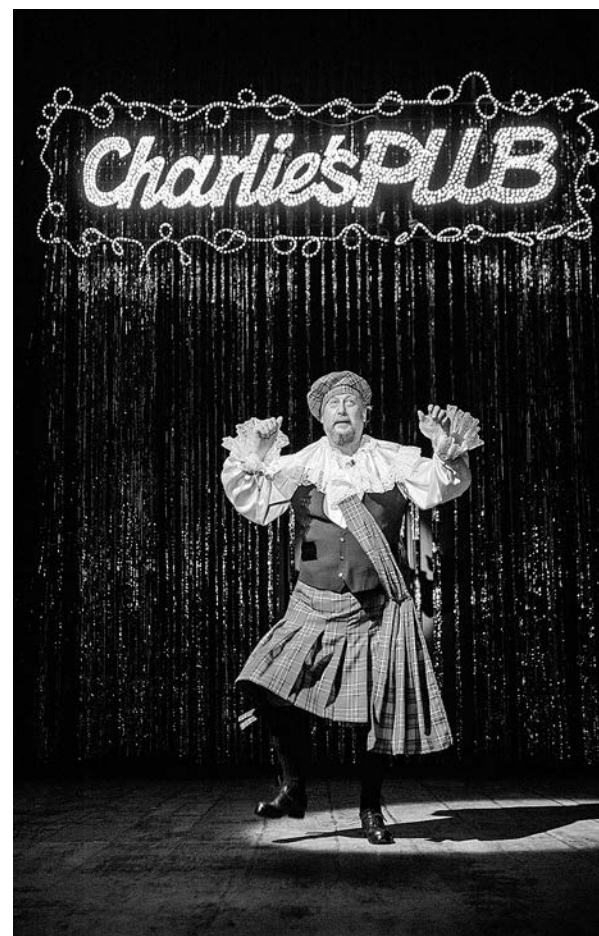
Co dały Ci studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie?

No... dyplom magistra sztuki. (*śmiech*) Studia to był najwspanialszy okres w moim życiu. Wiadomo: studento-

Kogut w rosole
– jako Spencer
📷 Monika Stolarska

Mirosław Bochenek

– poeta, felietonista,
autor tekstów piosenek.
Na łamach RI zamieszczamy
cykl jego rozmów
z ludźmi kultury.



wi wszystko wolno. Ale student także: powinien. Jakoś to pogodziłem. Nauczyłem się warsztatu aktorskiego. Wtedy też zrozumiałem, że aktorstwo to zawód, praca, a nie jakieś fantazje czy fanaberie. Studia to był też czas wymiany myśli, pomysłów, obserwowania innych, ich postaw, oceny tych zachowań, tych charakterów. Uczylem się swoich możliwości, próbowałem eliminować słabości, odkrywałem to, o czym nie miałem pojęcia, że w sobie mam. Starałem się robić wszystko, co potrzebne, aby potem nie przynieść sobie i najbliższemu wstydu. Na moim roku studiowało wielu ciekawych kolegów, między innymi Jan Prochyra, Andrzej Grabowski, Jerzy Kryszak. Było z kim rozmawiać, wyklócać się, no i powygłupiać się czasem.

Magister sztuki Kazimierz Czapla postanawia zaangażować się do Teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Dlaczego powrót do Bielska, a nie szukanie szczęścia w Warszawie, Krakowie, Poznaniu? Nie miałeś takich ambicji? Jakich ambicji? Jaka Warszawa? Po co? Teatr Polski to było właśnie wyzwanie dla świeżo upieczonego aktora! Nie zapominaj, przyjacielu, że w tamtych czasach, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, Teatr Polski był w rozkwicie, był w czołówce teatrów w Polsce! Dyrektorował mu wtedy Józef Para, znakomity reżyser i aktor, ale też mądry dyrektor, który przez sześć sezonów wprowadzał bielską scenę do ekstraklasy. I wprowadził! Nie miałem żadnych obiekcji, aby pracować w teatrze o takim dorobku. To był zdecydowanie świadomy wybór. Miałem się płatać po stolicy czy Poznaniu i latami czekać na szansę zagrania czegośkolwiek znaczącego? A tak, niestety, zdarzyło się wielu moim kolegom. Spalali się w nerwicach, frustracjach, często popadając w alkoholizm czy inne degrengolady. W Teatrze Polskim dyrektor Alojzy Nowak rzucił mnie od razu na głęboką wodę. I dobrze – poradziłem sobie.

To wtedy M. Bochenek, jeszcze szczeniak, zobaczył Cię po raz pierwszy w sztuce *Tato, tato, sprawa się rypla*. Z entuzjazmem podziwiałem rolę Placka: rubaszną, dynamiczną, charakterystyczną.

Tak, co chwilę teatr wybuchał śmiechem. W takich komediach gra się całym sobą, na pełny gaz. Zagrałem w tamtych latach kilka ról, które zostały zapamiętane, które mnie ustawiły, jak należy. Stałem się rozpoznawalny, a nawet lubiany. To było ważne – dodawało otuchy. W tamtym okresie zagrałem przecież Wodza Bromdena w znakomitym *Locie nad kukułczym gniazdem*. I to tak sugestywnie zagrałem, że widz, psychiatrę z zawodu, już za kulisami stwierdził pół żartem, pół serio, że gdyby nie

wiedział, że jestem aktorem i tylko gram rolę, to by mi od razu zaproponował pobyt w zakładzie zamkniętym.

Zaraz, zaraz... Wtedy chyba też się ożeniłeś? Z aktorką? Żona Aleksandra, czyli Ola, wykształcenie ma z całym innej bajki...

Wyczuwam w Twoim głosie nutę romantyczną.

Początki naszej znajomości właśnie takie były: poznaaliśmy się w Budapeszcie, na dworcu Keleti, w pociągu. Wracaliśmy do Polski razem, ale osobno, w jednym wagonie. Wtedy ją przyuważyłem i już nie wypuściłem z rąk. Byłem wtedy na drugim roku studiów. Jeździłem do niej potem do Częstochowy, jeździłem, i któregoś dnia przywiozłem do Bielska. I już została, do dzisiaj. Ja jestem z tego zadowolony, nasze dzieci są zadowolone, Ola chyba też. (*śmiech*)

Ale na początku burzliwych lat osiemdziesiątych uciekłeś z bielskiej sceny do Czeskiego Cieszyzna. Skąd taki wybór? Szczerze mówiąc, nie rozumiałem wtedy Twojej decyzji.

Mirku, pamiętasz te czasy, a dziwiłeś się? Powiem tak: gdy polityka zaczyna rządzić sztuką, to sztuka wychodzi na tym jak Zabłocki na mydle. Nie czułem się wtedy dobrze z tym wszystkim, co było wokół teatru i w samym teatrze. Nie zapominaj, że miałem już dzieci, a żona była bez pracy. Do tego w sklepach pustki, tylko ocet na półkach, w jatkach co najwyżej mięso „nagie haki”. W Czechosłowacji było o wiele łatwiej, nie ukrywam, że gaża też przywoziła, pozwalająca utrzymać i siebie, i rodzinę. Byłem tam sam. Kursowałem w tę i w tę z kiełbaskami, batonikami, pomazankami... Podstępem wyszarpałem od wojewody

Królowa Margot. Wojna skończy się kiedyś
– jako Gaspar de Coligny
Monika Stolarska



jakąś kretyńską przepustkę, żebym mógł przekraczać granicę, zaprzyjaźnionych przecież w komunizmie, krajów częściej niż raz w miesiącu. Byłem przede wszystkim mężem, ojcem. Dzisiaj jestem pewien, że to było wtedy najważniejsze.

No, ale...

Przerywam Ci, bo wiem, co chcesz powiedzieć. I tu się mylisz! W tamtych latach Scena Polska w Czeskim Cieszynie pozwoliła mi brać udział w wielu wspaniałych przedsięwzięciach. Było o niej głośno w Polsce i nie tylko (może mniej w Bielsku-Białej). Przez prawie sześć lat grałem tam non stop, oczywiście, najczęściej, dla Polaków mieszkających na Zaolziu. Dla nich to było bardzo ważne. Zagrałem tam Łopachina w *Wiśniowym sadzie* Czechowa. To jest jedna z tych kreacji, które do dziś najbardziej cenię. Po premierze recenzent Ladislav Slíva, Czech, wybitny krytyk i teoretyk teatru, rozpisывał się o moich koleżankach i kolegach, a mnie podsumował jednym zdaniem: *O Czapli nie piszę nic, bo wszystkim wiadomo, że potrafi zagrać nawet bilet tramwajowy.*

W garderobie Starego Teatru w Krakowie, lata 90.
📷 Archiwum domowe

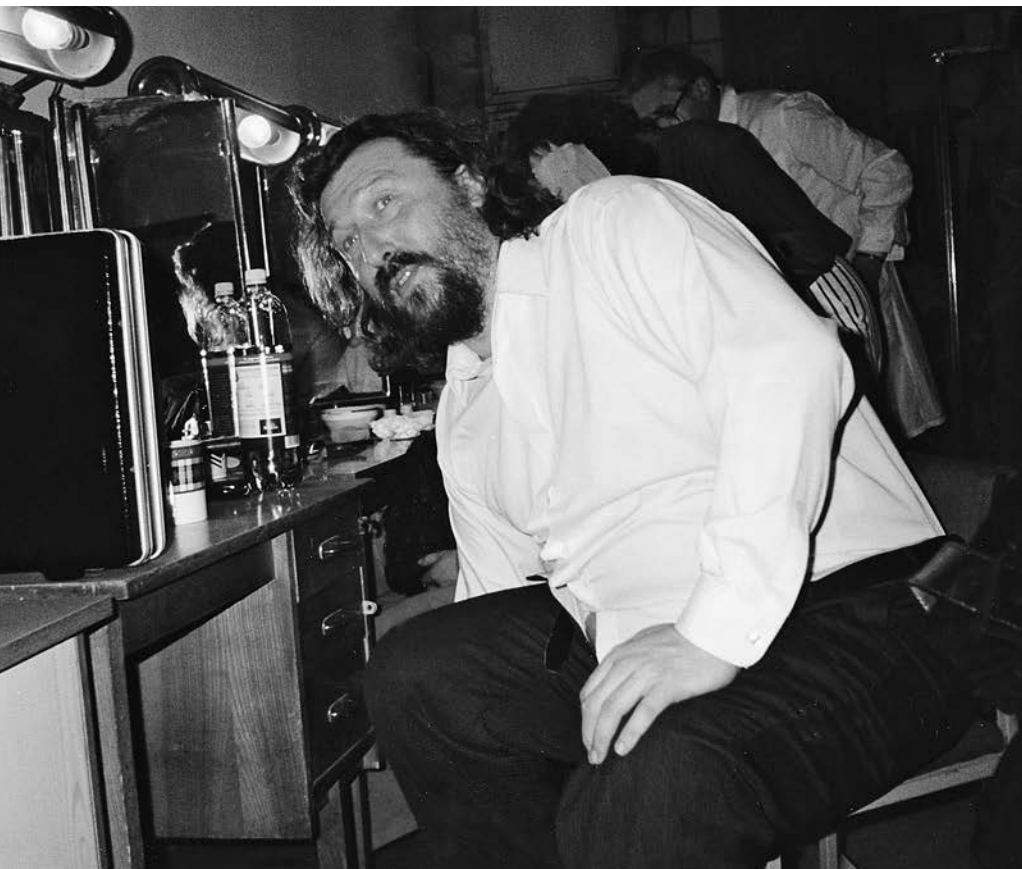
Wróciłeś jednak do Bielska-Białej.

Wróciłem. W 1989 roku. Ustrój w Polsce wywrócił się do góry nogami, aktorzy mogli normalnie pracować.

I w kolejnych latach posypały się nagrody dla Kazimierza Czapli: Złote Maski, Ikary, wyróżnienia za wybitne kreacje...

Nagrody są ważne, podtrzymują na duchu, łechtają ambicję. Ale lepiej się czuję gdy ci, którzy o tych nagrodach czytają, przyjdą do teatru, żeby zobaczyć sztukę, w której gram. A sporo teraz gram. Obecny dyrektor, Witold Mazurkiewicz, na oszczędzanie się nie pozwala zbytnio. Mamy ze sobą bardzo dobre relacje, co sobie cenię. Mówiłem już, że lubię swój zawód, teatr, atmosferę. Właściwie nie lubię tylko trzech rzeczy: ukłonów, charakteryzacji i bankietów. A poza tym to w teatrze czuję się jak... czapla w wodzie!

Oby jak najdłużej!



Kazimierz Czapla – ur. w 1951 roku, absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie (1974), aktor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej i Sceny Polskiej w Czeskim Cieszynie. W 2015 roku obchodził 40-lecie pracy artystycznej. Wykreował ok. 200 ról teatralnych i filmowych, m.in. Porthosa w *Trzech muszkietierach*, Spodka w *Śnie nocy letniej*, Gerwazego w *Panu Tadeuszu*, Mate Bukaricy w *Przedstawieniu „Hamleta” we wsi Głucha Dolna*, Horodniczego i Ziemiałnika w *Rewizorze* czy rolę główną, chłopca Józefa, w filmie fabularnym *Bardzo spokojna wieś* Janusza Kidawy. Występował w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia, użyczał głosu postaciom w filmach animowanych, pełnił okazjennie funkcję asystenta reżysera przedstawień teatralnych. Otrzymał cenione w środowisku nagrody za kreacje aktorskie, m.in. dwukrotnie Złotą Maskę, oraz Ikara za całokształt dorobku artystycznego (2005).



Magdalena Legendź

Świat przed zmianą

W położonej nad Białą dawną farbiarnię Gustawa Molendy, późniejszej fabryce Finex, tuż przy reprezentacyjnym deptaku – dopóki jego funkcji nie przejęły galerie handlowe – mieści się dom handlowy Wokulski. W środku różne, raczej niewielkie stoiska, różne branże. Ale czy Wokulski nie zaczynał od niewielkiego sklepiku? Wokulski jako synonim sukcesu? Chyba taka myśl przyświecała ojcom chrzestnym budynku. Czy ta nazwa oznacza właśnie, że klasyka jest żywa?

W związku z jubileuszem 250-lecia teatru publicznego w Polsce dwa sezony temu Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego ogłosiły Konkurs na Inscenizację Dawnych Dzieł Literatury Polskiej „Klasyka Żywa”. Idea była prosta: zainteresowanie twórców teatru dialogiem z klasyką literatury dramatycznej. Cezurę jej powstania określał rok śmierci Gombrowicza, czyli 1969. Organizatorom chodziło o dialog prowadzony z pozycji *dzisiejszych, ale z uwagą wsłuchujący się w głosy brzmiące w dawnym dramacie. Klasyka żywa to dawny tekst znajdujący oddźwięk we współczesności, rezonujący tak w twórcach, jak i w zapraszanych na przedstawienia partnerach teatralnej rozmowy.* Czyli w widzach.

Pięć realizacji *Dziadów*¹, cztery *Balladyny*, dwie *Iwoyny*, książniczki *Burgunda*, dwa *Wesela* i dwie *Odprawy posłów greckich* znalazły się wśród ponad 80 spektakli uczestniczących w konkursie. Był i *Fredro*, i *Zapolska*, a także klasyka dla dzieci w rodzaju *Plastusiowego pamiętnika* i *Koziołka Matołka*. Były oryginalne scenariusze inspirowane na przykład twórczością Witkacego, ale także adaptacje prozy.

Nadciągająca zmiana

Teatr Polski w Bielsku-Białej zgłosił do konkursu *Lalkę* Bolesława Prusa, którą na scenę zaadaptował Artur Pałyga, a wyreżyserowała Aneta Groszyńska, doceniona zresztą przez jury konkursu². W 48 scenach reżyserka pokazuje społeczeństwo, z różnych stron, w momencie kryzysu czy rozpadu. Skupiła się na płaszczyźnie społeczno-historycznej, bo jak uważała, *szkolny konflikt między romantyzmem a pozytywizmem nie jest w stanie rozpalić dzisiejszej publiczności*. Interesuje ją, jaka jest i skąd się wzięła polska mentalność. Ale dostrzega także w powieściowych wątkach bezradność wobec chaotycznej i nieuporządkowanej rzeczywistości. Tu pomógł jej dramaturg, dopisując Izabeli Łęckiej (Oriana Soika) monolog, w którym ta zaczyna rozumieć i wyjaśniać sobie (i widzom), że rzeczywistym bogiem tego świata jest pieniądz.

Kamienica w Bielsku przy ulicy Cechowej 18 była miejską siedzibą Molendy, który miał też piękną willę w Cygańskim Lesie. Od fabryki dzieliło go podwórze. Dziś przez neorenesansową bramę można podjechać na tyły domu handlowego. Wokulski dziś nie powstydziliby

Nocami i dniami będę tęsknić za Tobą (Piotr Gajos)
 Dorota Koperska

Magdalena Legendź

– redaktorka, publicystka kulturalna, recenzentka teatralna, publikuje na łamach m.in. „Kalendarza Beskidzkiego”, „Teatru” i „Dialogu”, „Teatru Lalek”.



Lalka (na pierwszym planie
Michał Czapla)
Monika Stolarska

się tego piętrowego gmachu. Wtedy – kamienicę Rzekich kupował przez podstawionego Szlangbauma. To, co najbardziej uderza w bielskiej *Lalce*, to wyrazista klasowość świata przedstawionego, która współcześnie nie zniknęła mimo kilkudziesięcioletnich rządów (a może właśnie dzięki nim) minionego reżimu rzekomo niwelującego społeczne i gospodarcze różnice.

Dziś inaczej rozkładają się akcenty, ale pewne zachowania były i są w dobrym tonie, za inne wypada się z towarzysko-zawodowego obiegu. Niezwykle współcześnie brzmi pytanie Wokulskiego: Czego ja chcę? – ze znakomicie wypowiedzianego przez Kazimierza Czaplę monologu. To świetne zakończenie scen rozgrywających się w Paryżu. Samotny człowiek na tle rozgwieżdżonego nieba. Komentarzem, który przychodzi na myśl, gdy zastanawiam się nad jego aktualnością, nie jest jednak słynne zdanie Kanta, ale słowa z *Wesela*: *tak by się nam serce rwało do ogromnych wielkich rzeczy, a tu rzeczywistość skrzeczy*. Ono też patronuje postaci Łęckiego, którą interesująco skonstruował Adam Myrczek.

W przedstawieniu jest wiele bardzo teatralnych, przejmujących scen, ale jego gmach wspiera się na postaci Wokulskiego. W interpretacji Kazimierza Czapli jest on człowiekiem dobrym i wrażliwym, który chociaż doroślił się na wojnie, co w każdym czasie brzmi podejrzenie, próbuje się odnaleźć w zmieniającym się świecie. Z kolei subiekt Rzecki Jadwigi Grygierczyk to chodząca naiwność, która nie nadąża za przemianami – bo nie pozwalają na to wyznawane przez niego wartości i zasady. I skąd my to znamy? Trzeba nagiąć ideały, żeby płynąć z prądem, *by coś znaczyć na tej wadze, gdzie się wszystko niańczy w bładze* – znów z komentarzem spieszy nieoceniony Wyspiański.

– To jest świat przed zmianą. Zbliży się coś, może to będzie wojna, może coś innego, co przewróci go do góry nogami. Wokulski jest zapowiedzią tego nowego świata. I to jest coś, co odczuwa się również dzisiaj, ta nadciągająca zmiana jest w powietrzu. Teatr jest od tego, żeby zbierać to, co krąży w powietrzu – mówił o spektaklu Artur Pałyga w regionalnej telewizji.

Na huśtawce

Świat przed zmianą usiłuje przeniknąć również przedstawienie *Nocami i dniami będę tęsknić za Tobą*, którego premiera odbyła się w Teatrze Polskim 5 grudnia ub. roku. Na afiszu nazwisko Marii Dąbrowskiej, której wielka powieść *Noce i dni* stała się kanwą teatralnego scenariusza, ustępuje jego twórcom: Szymonowi Bogaczowi i Zuzannie Bućko (nawiasem mówiąc, uczestniczki warsztatów dramatopisania, które Artur Pałyga prowadził w Bydgoszczy).

Twórcy spektaklu deklarują, że interesują ich głównie procesy społeczne. Jednym z nich jest postępująca alienacja. Postaciom trudno się porozumieć, tak szczerze oblepia je samotność. Widać to w dialogach, które zmieniają się niekiedy w równoległe monologi. Jak gdyby swe kwestie wyklepywali na ekranach smartfonów, zanurzeni w wirtualnym świecie... Sugestywni są w tym zwłaszcza Michalina Ostrzeńska Barbary Guzińskiej i jej mąż Anzelm Jerzego Dziedzica. Wzajemną obcość oddaje ekspresyjna scena na huśtawkach – doborowy kwartet z udziałem wyżej wymienionych oraz Barbary (Jagody Krzywickiej) i Bogumiła (Sławomira Miski). Niechcicie, pisała Dąbrowska, *tracą wszystkie dobra materialne, a zyskują pomału duchowe*, Ostrzeńscy odwrotnie. Ta tragiczna niemożność połączenia obu elementów w jedno – czy i to skądś znamy? Zawieszeni między po-

wstaniem a wojną, poddani powtarzającym się mechanizmom historii. Ciekawe, że kiedy myślę o sklepie Michaliny, oczyma wyobraźni zawsze widzę eleganckie wnętrza Gallux, mieszczące się w ciągu handlowym Wysokiego Trotuaru pod zamkiem Sułkowskich, zburzonym w latach siedemdziesiątych kaprysem ówczesnych decydentów. *Żyj na huśtawce, żyj!* – ironicznie zachęcał współczesny klasyk niezależnej kultury.

Na tym tle – miłość. I to pokazana świetnie, za sprawą przekonujących, konsekwentnych ról. Barbara w doskonałej interpretacji Jagody Krzywickiej jest odbiciem słów zapisanych przez Dąbrowską w jej *Dziennikach* 21 sierpnia 1930 roku: *Chciałam przedstawić kobietę, która nie kocha. Otóż tego nie potrafię. Pod tym względem trzeba wszystko w Barbarze zmienić. Musi kochać, nawet kiedy nie kocha*. Zręby powieści powstawały w Jaworzu, z którym pisarka związana była niemal dziesięć lat. Sprawiał to romans, a raczej burzliwy związek z ówczesnym właścicielem jaworzańskiego uzdrowiska Jerzym Czopem. Pod wpływem uczucia Dąbrowska zmieniała pewne wątki powieści, rok później odnotowała: *piszę nowy tom pierwszy w istnym natchnieniu – młodość Bogumiła i Barbary*. Jak wyglądałaby powieść bez tego rozdziału, dziś trudno sobie wyobrazić. Jagoda Krzywicka jest Barbarą wielowymiarową, poszukującą, niezwykle delikatną i kobiecą, a zarazem silną. Nieoczekiwanie – mało

Nocami i dniami będę tęsknić za Tobą (Jagoda Krzywicka i Sławomir Miska oraz Zofia Schwinke, Marta Gzowska-Sawicka i Maria Suprun

📷 Dorota Koperska



sentymentalną, co wyszło jej na dobre. Zupełnie inną niż pamiętna postać z filmu Jerzego Antczaka. Prawdziwą – zapamięta się ją na długo.

Gdy patrzę na Bogumiła Sławomira Miski, widzę mężczyznę z krwi i kości, młodego, ale z bagażem doświadczeń, prostego, ale wrażliwego i z ambicjami, żadnego tam safandulę, jakim był w niezapomnianej skądinąd roli Jerzy Bińczycki. Faceta z życiową pasją. To niezwykle, jak ze zleżałego, niemal martwego pojęcia przywiązania do ziemi uczynił nośny i na wskroś współczesny temat. W pamięci pozostaje scena sypania tamy – swoim zapalem i determinacją zaraża wszystkich, piętrzy się góra piachu, trzaskają stawiane z rozmachem wiadra. Czyżby etos pracy nie wszystkim umarł?

W spektaklu Julii Mark są sceny przejmujące, dramatyzmem lub liryzmem – w wyważonych proporcjach. Za czym tak tęsknimy? Skąd ten nasz – współczesnych – sentymentalizm?, zdaje się pytać reżyserka. Przed oczami widzów przesuwają się klisze pojęć i wyobrażeń, jak w stop-klatce pojawiają się obrazy znane z płócien Chełmońskiego, Malczewskiego, Boznańskiej, Lenicy. My z nich wszyscy?

Scena Polska w Czeskim
Cieszynie: *Powsinogi
beskidzkie*

📷 Karin Dziadková



Skąd ta tożsamość

Różne jeszcze można snuć wątki na kanwie obu bielskich przedstawień. A to że w jubileuszowym 125 sezonie powstały spektakle podejmujące ważne problemy współczesności; a to że oba sięgają do kostiumu na zasadzie poszukiwania nowego języka teatralnego. Można też analizować, w jakim stopniu obie narracje są spojrzeniem na świat z punktu widzenia i przez historię kobiet. Albo zastanawiać się, czemu nie zaistnieli na scenie zapowiadani *Krakowiacy i górale* Bogusławskiego – w kontekście miasta położonego w cieniu gór na styku Śląska i Małopolski zapewne wiele można by powiedzieć o wzajemnych relacjach mieszkańców regionu zwanego czasem Podbeskidziem. Tej nazwy używanej podobno przez Emila Zegadłowicza (mieszkańca podbeskidzkiego Gorzonia koło Wadowic) jedni bronią, inni równie mocno jej nienawidzą. Można też porównywać sceny „chocholego tańca” w obu spektaklach. W *Lalce* postacie w zwierzęcych maskach w kolorze miedzi – pieniądza – jakby pogrążone w letargu wykonują nienaturalne, podszyte erotyzmem taneczne pas. W *Nocami i dniami...* mamy tańce weselne i cytaty z nieśmiertelnego walca z nenufarmami. *Co się komu w duszy gra, co kto w swoich widzi snach*, jak zawodził głosem Czesława Niemena Chochoł w filmie Andrzeja Wajdy. *A to Polska właśnie!*

Na wskroś polskie są pod-beskidzkie *Dziady*, czyli wyróżnione nagrodą specjalną *Powsinogi beskidzkie*³ Zegadłowicza, które premierę miały w kwietniu minionego roku. Wyreżyserowane za miedzą, w Czeskim Cieszynie, przez Bogdana Kokotka, aktora i reżysera obdarzonego

poetycką wrażliwością. Kokotek stworzył precyzyjne, dopracowane widowisko, w którym mierzy się nie tylko z ontologicznymi i aksjologicznymi pytaniami, ale ponadto z jakże współczesną kwestią tożsamości. Zagrożonej zwłaszcza na zaolziańskim obszarze, gdzie żyjący od pokoleń Polacy niedostrzegalnie, jakby mimochodem ulegają czechizacji. W tej kwestii rządzi praktycyzm.

Widzowie cieszyńskiego spektaklu w skupieniu uczestniczą w obrzędzie, nie trzeba ich sztucznie wciągać w akcję, bo aktorzy raz po raz zwracają się wprost do nich. W dziesięciu scenach przywoływania charakterystycznych dla wiejskiej społeczności postaci z druciarzem (Janusz Kaczmarski), szklarzem (Ryszard Pochroń), zabawkarzem (Grzegorz Widera) i sadownikiem (Dariusz Waraksa) na czele objawia się świat stałych, prostych wartości, wypełniony na poły pracą, na poły religijną wiarą splecioną z ludową magią czy rytuałami. Nie trzeba jednoznacznie stwierdzać, czy są żywymi ludźmi, czy może duchami przodków, bo ich transcendentne przeżycia przybliżają ich/je do nieba lub ono się do nich zniża. Pan Jezus, aniołowie i święci egzystują tu na równych prawach. Świetny, mistyczny i zarazem konkretny, sensualnie treściwy duet tworzą Babka Góralczyzka (Halina Paseková) i Matka Boska (Joanna Gruska). Także dzięki operowaniu światłem i prostej wielofunkcyjnej scenografii, w której znaczącym elementem są okalające przestrzeń gry ostrewniki i wiodące w inny wymiar schody. Znakomicie zakomponowana scena jest ni to wiejską karczmą, ni agorą, gdzie decydują się ważne sprawy. Aktorzy pozostają cały czas na scenie – siadają wokół, zajmując się gospodarskimi czynnościami. Integralnym elementem inscenizacji jest muzyka wykonywana na żywo przez kapelę Lipka.

Beskidzka wieś i otaczająca ją natura jest krajobrazem idealnym, w którym człowiek łączy się z bezczasem przyrody, uczestniczy w micie wiecznego powrotu. Tam wszystko z wszystkim jest połączone, tam odradza się ludzka dusza. W jałowcu, ale i w Bogu, którego nie można nie spotkać. Może to ona jest lecącym nad lipą ptakiem z finałowej piosenki?

Czekamy

W drugiej, trwającej obecnie, edycji konkursu regulamin zmodyfikowano. Nie wchodząc w jego zawilosci, trzeba zauważyć, że adaptacje tekstów nieprzeznaczonych oryginalnie na scenę, na przykład powieści – choćby takich *Nocy i dni* – mogą zostać zgłoszone do konkursu i walczyć o nagrody. Nie mogą starać się o refundację.

Wreszcie też pomyślano o widzach, z korzyścią dla których połączono konkurs z Ogólnopolskimi Konfrontacjami Teatralnymi „Klasyka Polska” w Opolu. Wybrane przez komisję artystyczną spektakle będzie można tam właśnie zobaczyć, bo na razie ewentualny miłośnik nagrodzonych, czyli z założenia wybitnych, spektakli skazany był na tułanie się po kraju – a w jednym wypadku nawet poza jego granice. Od drugiej edycji jurorzy opolskich konfrontacji będą zarazem jury „Klasyki Żywej”, które przyzna Nagrodę Główną im. Wojciecha Bogusławskiego. No to czekamy. □

Teatr Polski w Bielsku-Białej: *Lalka* Bolesława Prusa. Adaptacja Artur Pałyga, reżyseria Aneta Groszyńska, scenografia Marta Zając, kostiumy Paweł Cukier, muzyka Jerzy Rogiewicz. Premiera 17 kwietnia 2015.

Teatr Polski w Bielsku-Białej: *Nocami i dniami będę tęsknić za Tobą* Zuzanny Bućko i Szymona Bogacza (na motywach powieści Marii Dąbrowskiej). Reżyseria Julia Mark, współpraca Zuzanna Bućko i Szymon Bogacz, scenografia i kostiumy Justyna Eliminowska, piosenka Waldemar Maszyński, opracowanie muzyczne Szymon Bogacz. Premiera 5 grudnia 2015.

Těšínské divadlo, Scena Polska w Czeskim Cieszyńsku: *Powsinogi beskidzkie* Emila Zegadłowicza. Adaptacja, reżyseria i scenografia Bogdan Kokotek, kostiumy Agata Kokotek, opracowanie muzyczne Henryk Gadomski. Premiera 11 kwietnia 2015.



¹ Nagrodę Główną im. Wojciecha Bogusławskiego otrzymał Teatr Polski we Wrocławiu za spektakl *Dziady. Części I, II, IV i wiersz Upiór* oraz za spektakl *Dziadów część III* Adama Mickiewicza w reżyserii Michała Zadary.

² Wyróżnienie indywidualne za reżyserię *Lalki* Bolesława Prusa w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej otrzymała Aneta Groszyńska.

³ Nagrodę specjalną otrzymał spektakl *Powsinogi beskidzkie* Emila Zegadłowicza w reżyserii Bogdana Kokotka, zrealizowany na Scenie Polskiej Těšínského divadla (Teatru Cieszyńskiego) w Czeskim Cieszyńsku (w koprodukcji z Zamkiem Cieszyńskim) za niezwykle walory integracyjne dla społeczności Śląska Cieszyńskiego.

Halina Paseková
jako Babka Góralczyzka



Jakub Kłeczek

Lalki-maszyny

Między wdziękiem a refleksją

Na pytanie „czym jest lalkarstwo?”, odpowiadało wielu teoretyków. Sztuka animacji przedmiotów doczekała się rozmaitych rozpoznań, zarówno dotyczących estetyki, antropologii kulturowej, jak i filozofii.

Theater des Lachens: *Kleist*
– o teatrze marionetek
lub pokonywanie grawitacji
w trzech aktach,
25. Międzynarodowy
Festiwal Sztuki Lalkarskiej,
Bielsko-Biała 2012

📺 Agnieszka Morcinek

Jedną z ciekawszych prób zmierzenia się z tym fenomenem pozostaje *O teatrze marionetek*, autorstwa niemieckiego pisarza doby romantyzmu – Heinricha von Kleista. W eseju tym poeta relacjonuje rozmowę z anonimowym twórcą będącym zarówno tancerzem, jak i animatorem lalek. Napotkany przez autora wykonawca poświęca wiele uwagi teatrowi marionetek. Z jednej strony opowiada o tej twórczości jako działalności podległej prawom matematyki, z drugiej zaś, opisując możliwości animacji, przyznaje, że jest w niej pewna tajemnica, której nie rozwiązuje fizyka czy geometria.

Zdaniem rozmówcy Kleista, wykorzystując obliczalną technikę, dojść można do możliwości znacznie bogatszych niż te dane żywym ludziom – do tego, co było dotychczas „nieobliczalne”. Taniec marionetek można oddać w całości za pomocą „mechanicznych sił”. Nie oznacza to jednak, że lalkarstwo jest praktyką „zupełnie bezduszną”. Paradoxs lalkarstwa, na który wskazuje Kleist, polega na tym, że „organiczność” ruchu oddaje się za pomocą animacji tego, co bez „tchnienia ducha” lalkarza pozostaje martwe. Skala gestów, jakie wydobyć można za pomocą lalki, jest rzeczą niemal nieobliczalną – wymaga sporego wyczucia, doświadczenia i intuicji – stąd przyrównanie przez rozmówcę Kleista tegoż ruchu właśnie do „drogi duszy tancerza”.

Jakub Kłeczek
– doktorant w Katedrze
Dramatu, Teatru i Wido-
wisk Uniwersytetu Adama
Mickiewicza w Poznaniu,
bada przede wszystkim
związki sztuk wykonaw-
czych z nowymi mediami.



Animacja lalki jest możliwa przede wszystkim dzięki jej mechanice, która jednak nie determinuje jej całkowicie. *Ruch palców animatora i ruch przytwierdzonych do nich lalek mają się do siebie w sposób raczej wymyślny, tak mniej więcej, jak liczby do swych logarytmów lub asymptota do hiperboli¹*. Stosując metafory, przy użyciu pojęć z zakresu matematyki, rozmówca Kleista wskazuje na istniejące do dziś przekonanie, że relacje człowieka z przedmiotami opisywalne są przede wszystkim za pomocą nauk przyrodniczych. Jednocześnie, kończąc swój wywód, stwierdza: *Im bardziej w świecie organicznym mętnieje i słabnie refleksja, tym przemożniej i promienniejsze występuje wdzięk. Lecz podobnie jak gdy przecięcie dwóch linii z jednej strony punktu przeszły nieskończoność, nagle staje znowu tuż przed nami, tak i gdy poznanie przejdzie jak gdyby nieskończoność, wtedy z powrotem zjawia się wdzięk²*. Chcąc wyrażać „wdzięczność” ruchów, lalkarz może nie podejmować refleksji, eksponując uczucie, intuicję etc., jednak zdaniem Kleista i jego rozmówcy do najpełniejszego wdzięku i powabu lalki dojść można właśnie poprzez poznanie, refleksję nad ruchem, przedmiotem i procesem animacji.

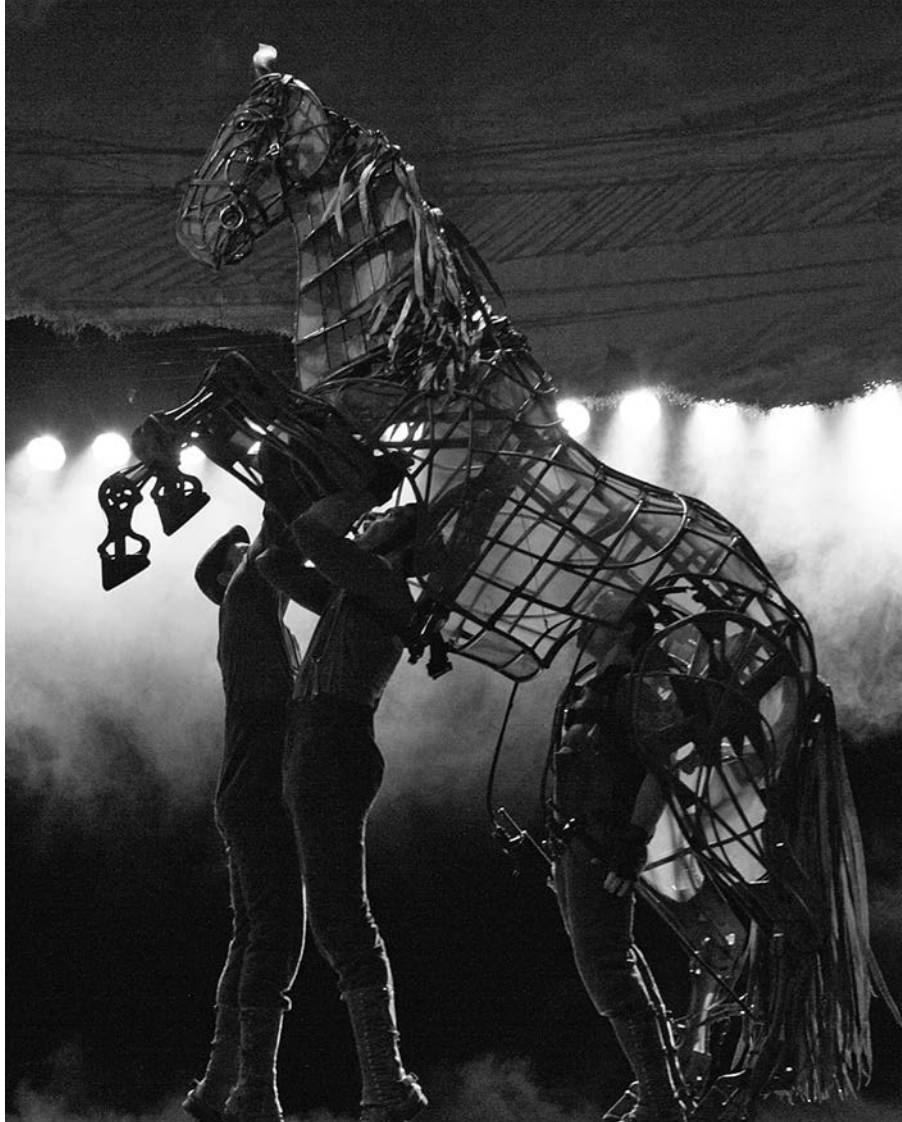
Niemiecki poeta, za swoim dyskutantem, animatora lalki określa słowem *maschinist*³, które dosłownie przetłumaczyć można jako np. *operatora maszyny* bądź *ma-*

szynistę⁴. Co najmniej od czasów niemieckiego romantyka to podstawowe rozpoznanie, dotyczące animowanych przedmiotów, prawdopodobnie pozostaje wciąż aktualne. Lalka może być (i była) nazwana maszyną. Rzecz jasna nie taką stworzoną w tzw. celach pragmatycznych, jak frezarka, wiertarka czy samochód. Lalka może być maszyną szczególną – w tej samej mierze materialną, co „filozoficzną”, tzn. prowokującą do pewnych rozpoznań, dotyczących bycia człowieka w świecie, jego relacji z materią etc. Pełną świadomość tego rozpoznania wydaje się mieć wielu twórców teatru animowanej materii, którzy dochodząc do granic „racjonalnego” podejścia do animacji, ostatecznie ukazują jej powab. Jest to kierunek poszukiwań twórczych współczesnych artystów lalkarzy takich, jak np. Amit Drori czy członkowie grup Handspring Puppet Company, Insectotrópics i Henson Digital Performance Studio. Twórców tych co najmniej tak samo interesuje konstrukcja, mechanika i materia, jak „tchnienie ducha” animatora.

Do niebanalnych przykładów lalek-machin należą współcześnie te konstruowane przez południowoafrykański zespół Handspring Puppet Company. Lalkarze ci tworzą imponujące kinetyczne konstrukcje, takie jak naturalnej wielkości konie występujące w spektaklu *Warhorse*. Przedstawienie to jest inscenizacją książki *War Horse* Michaela Morpurgo⁵, poświęconej historii przyjaciela pewnego chłopca i jego konia, który po wybuchu pierwszej wojny światowej zostaje sprzedany i jest wykorzystywany podczas walk. Chłopiec, by go odnaleźć, decyduje się na zaciągnięcie się do wojska.

Tematyka spektaklu pozwoliła ukazać bogaty wachlarz emocji zwierzęcych bohaterów. Proces oswojania, ujarzmiania i innych relacji, jakie nawiązuje człowiek z koniem, okazały się nie lada wyzwaniem dla projektantów zaawansowanych lalek-machin. Twórcy z Handspring Puppet Company zdecydowali się dokonać selekcji kluczowych, ich zdaniem, skal ruchu, jakie posiadają lalki z *Warhorse*. W przypadku koni były to podstawowe ruchy chodu kontrastujące z nadającym imi emocje mniejszymi gestami uszu, ogona i oczu. Skale ruchu, jakie wybrali projektanci, wynikały z obserwacji nie tylko prawdziwych zwierząt, lecz także tego, jak publiczność postrzega ruchy lalek z widowni – z większej odległości, nie dostrzegając szczegółów. Praca nad mechanizmem obejmowała stosunkowo długi czas prototypowania, podczas którego artyści (a poniekąd także wynalazcy) zmuszeni byli do nieustannych korekt swoich celów. Zdaniem twórców Handspring Puppet





Warhorse Handspring
Puppet Company w Sydney
Lyric Theatre
Eva Rinaldi
Licencja: CC-BY-SA-2.0 (link
do: <https://creativecommons.org/licenses/by-sa/2.0/pl/>)

Polecamy strony:
<http://insectotropics.com/ca>
http://hdps.wikia.com/wiki/Waldo_C_Graphic
http://muppet.wikia.com/wiki/Waldo_C_Graphic
<http://amitdrori.com/>
<http://www.handspringpuppet.co.za/>

Company lalkarstwo można uznać za rodzaj „inżynierii emocjonalnej”⁶, ich praca nad lalkami przypomina nieco tę, jaką podejmuje inżynier architekt tworzący przestrzeń interakcji człowieka i materii. Artyści musieli podjąć decyzje związane z wyborem budulca i sposobu konstrukcji, jednocześnie myśląc o recepcji widzów i skali ruchów, jaką dadzą animatorom. Końcowe projekty są dzięki temu samodzielnymi figurami, ale stają się przedmiotami, z którymi aktorzy lalkarze mogą nawiązywać twórcze relacje.

Podobne „architektoniczne” myślenie o przestrzeni lalkarskiej ekspresji mają twórcy hiszpańskiej grupy Insectotrópics. Ich występy są rodzajem produkcji filmowej pokazywanej widzom na żywo. Wykorzystując rozmaite efekty specjalne (kamery, animację przedmiotów, aktorstwo żywopłanowe i oprogramowanie do wizualizacji), tworzą interesujące wizualizacje i akcje sceniczne. Trudno wskazać centrum działań w ich przedstawieniach. Nie jest nim ani to, co wyświetlane na ekranie, ani bogata scena pełna komputerów, rekwizytów, lamp i innych przedmiotów, które dzięki aktorom, technikom i plastynom tworzą ekranowy obraz.

Grupa twórców, np. w będącym inscenizacją *Czerwonego Kapturka* spektaklu *La Caputxeta Galàctica*, prowadzi dramaturgię pomiędzy wieloma różnymi formami ekspresji: aktorstwem żywopłanowym, tworzonymi po części na żywo wizualizacjami wyświetlanymi na ekranie i transmisjami „scenografii” widocznymi na telewizorach stojących na scenie. Łączą grę z rekwizytem, teatr cieni, teatr rąk, umiejętności kuglarskie, grę w masce z produkcją filmu animowanego, improwizacją plastyczną i muzyczną oraz grafiką komputerową. Przy całym bogactwie wykorzystywanych środków nie tracą jednak z oczu jakości estetycznych, które współgrają z dramaturgią ich widowisk.

Rozwój mediów audiowizualnych – kina, telewizji i grafiki komputerowej – w kontekście sztuki lalkarskiej doprowadził także do ujawnienia się szczególnej formy ekspresji, jaką jest cyfrowe lalkarstwo. Praktyka ta polega na animowaniu lalek wyświetlanych na ekranach za pomocą programów komputerowych w czasie rzeczywistym⁷. Jedną z najpopularniejszych cyfrowych lalek w historii jest, już ponad dwudziestosiedmioletni, mupet *Waldo C. Graphic* stworzony i rozwijany przez Jima Hensona oraz jego współpracowników, a następnie przez jeden z najważniejszych ośrodków cyfrowego lalkarstwa – Henson Digital Performance Studio. Dzięki technikom telewizyjnym już pod koniec lat 80. *Waldo* (lalka latającego stworza przypominającego fuzję foki, klauna i owada) mógł wchodzić w interakcje z innymi mupetami, za pomocą systemu przechwytyującego i przenoszącego ruch lalkarza na ekran. Ta postać brała udział przede wszystkim w skeczach związanych z tematyką science fiction, m.in. w programie *The Jim Henson Hour*⁸.

Formy twórczości lalkarskiej związane z nowymi technologiami rozwijają się jednak nie tylko w wirtualnej sferze grafiki komputerowej, lecz także w bardziej osadzonej w materii robotyce. Izraelski artysta Amit Drori za pomocą tworzonych przez siebie robotów pokazuje nowe możliwości animacji przedmiotów. Technologia nie jest dla niego celem, lecz drogą do odkrywania potencjalnych sposobów ożywiania obiektów. W spektaklu *Savanna – a possible landscape* z pomocą zdalnie sterowanych robotów i ich animatorów tworzy obraz sawanny ukazujący stosunek ludzi do przyrody. To przeniesione na scenę teatralne wyobrażenie przedstawia naturę, jaka istnieje w umyśle człowieka, wraz z emocjami wobec niej – zachwytem nad jej pięknem, strachem czy

brakiem poczuciem bezpieczeństwa. Robotyczne lalki słoni, gąsienic i ptaków są efektem jego poszukiwań artystyczno-technicznych będących raczej przejawem domowego majsterkowania niż zaawansowanej technologii. Drori zaznacza, że buduje swoje roboty z powodów poetyckich. Jego cele są inne niż robotyków pracujących na uniwersytetach czy w korporacjach, którzy tworzą głównie roboty niezależne od człowieka, a nie współpracujące z nim. Jedyną funkcją jego konstrukcji, wbrew dominującemu paradygowi robotyki, jest funkcja nie pragmatyczna, lecz poetycka. Maszyny Droriego nie służą do codziennych czynności, ale (być może) do tworzenia nowych relacji z maszynami, które mogłyby być podobne do stwarzanych przez lalkarzy animujących materię. Jego zdaniem kreowanie „poetyckich robotów” jest rodzajem ewolucji lalkarstwa, które animuje przedmiot nie tylko od zewnątrz, ale także od wewnątrz. By stworzyć „żyjący” przedmiot sceniczny, należy, zdaniem Droriego, zaopatrzyć go także w wewnętrzny mechanizm – swego rodzaju „anatomię”, w pewien sposób podobną do tej, jaką mają żywe zwierzęta. Robotyczne lalki z *Savanna – a possible landscape*, inaczej niż np. drewniane marionetki, posiadają własny mechanizm ukryty w swoim wnętrzu – być może właśnie on sprawia, że animacja lalek-robotów staje się przekonująca. Sferą takiego niecodziennego namysłu nad robotyką może być teatr, który pozwala twórcom-inżynierom na oryginalne eksperymenty. Na scenie bowiem maszyny nie podlegają zasadzie funkcjonalności, której sprostać muszą w codziennym życiu⁹.

Jeśli za Kleistem i jego rozmówcą uznamy lalki za szczególny typ maszyn, będzie to miało wiele istotnych konsekwencji. Lalki-maszyny, podobnie jak inne urządzenia mechaniczne, podlegają procesowi prototypowania i użytkowania. Oznacza to, że pełniej możemy je zrozumieć poprzez obserwację ich aktywności i działania na nich (lub za ich pomocą). Współcześnie, wraz z rozwojem technologii informacyjnych, maszyny stały się także „wirtualne”, dzięki czemu mogą być animowane za pomocą programów komputerowych (dzieje się tak w cyfrowym lalkarstwie). Jak pokazują działania omówionych artystów, te twórcze wyzwania i ograniczenia wyzwalają coraz to nowe i coraz bardziej widowiskowe formy animacji przedmiotów. Sztuka lalkarska wchodząca w twórcze relacje z wynalazczością techniczną jest stosunkowo często pokazem symbiotycznej więzi człowieka i wytworów techniki. Występy takie pozostają nierzadko widowiskowe nie tylko dlatego, że są po-



kazem iluzyjnej techniki (bądź technologii), lecz także dlatego, że ją poniekąd „ujarzniają”.

Sztuka lalkarska powstaje w nieustannym dialogu między ukazywaniem powabu ruchu lalki a analitycznym rozmyśleniem nad mechaniką jej działania. Można odnieść wrażenie, że opisanym wyżej artystom udało się zachować odpowiednią równowagę twórczą między składowymi „podwójnej istoty” lalkarstwa, o której pisał Kleist. Występy i lalki Amita Droriego, Handspring Puppet Company, Insectotrópics i Henson Digital Performance Studio są bowiem popisami zarówno animacji, jak i techniki – w tej samej mierze ukazują wdzięk ruchu lalki, co refleksję nad animowanymi przedmiotem. □

Przykład technicznej kreatywności we współczesnym lalkarstwie – wydruk autorstwa Pracowni Druku 3D łódzkiego teatru Arlekin. Model 3D + druk: Krzysztof Szafraniec. Rzeźba powstała na potrzeby Teatru Barnaby

¹ H. von Kleist, *O teatrze marionetek*, przeł. J. Ekier, [w:] *Pisma teoretyczne niemieckich romantyków*, wyb. i oprac. T. Namowicz, Wrocław 2000, s. 575.

² Tamże, s. 581.

³ Jakub Ekier, tłumacz eseju Kleista, zdecydował się przełożyć słowo *maschinist* jako *animator*. Zaznaczył jednak, że użyte jest ono „w znaczeniu czysto mechanicznego zabiegu, którego wynikiem jest ruch pełen wdzięku i powabu” (tamże, s. 574).

⁴ Na taką formę zdecydował się pierwszy polski tłumacz eseju, Stanisław Wyrzykowski, który opublikował przekład pod pseudonimem Y.Rz., por. H. Von Kleist, *O teatrze maryonetek*, przeł. Y.Rz., „Chimera” 1904, t. 7, s. 33.

⁵ W Polsce powieść została wydana pod tytułem *Czas wojny*. M. Morpurgo, *Czas wojny*, przeł. J. Ochab, Warszawa 2012.

⁶ B. Jones, A. Kohler, *The genius puppetry behind War Horse*, [online], [dostęp: 8.02.2016], dostępne na: https://www.ted.com/talks/handpring_puppet_co_the_genius_puppetry_behind_war_horse.

⁷ O tym przykładzie ekspresji lalkarskiej zob. J. Kłeczek, *Cyfrowe lalkarstwo*, „Teatr Lalek” 2015, nr 1.

⁸ Por. tamże.

⁹ Por. *Savanna. A Possible Landscape by Amit Drori* [performing folder], [online], [dostęp: 8.02.2016], dostępne na: www.vidy.ch/sites/default/files/field_spectacle_file/dv_savanna_english_14.04.2014.pdf.

Justyna Weronika Łabędź

Iskra boża



„Dzień bez malowania jest dniem straconym” – taką dewizą kieruje się bielski artysta Julian Jacek Leszczyński. Mimo ukończonych (10 stycznia 2016) osiemdziesięciu lat, cały czas realizuje się twórczo. I prezentuje swoje prace, również te najnowsze, na indywidualnej wystawie w Klubokawiarni Aquarium.

Nestor bielskiego środowiska artystycznego urodził się w Stanisławowie* w 1936 roku. Jako ośmioletni chłopiec został z rodziną przesiedlony. Od 1948 roku zamieszkał w Bielsku-Białej, które uważa za swoje rodzinne miasto. To właśnie tutaj, jak podkreśla, uczęszczał do liceum im. M. Kopernika. Także w tym mieście została zaszczerpiona w nim pasja tworzenia. Nie widział innej możliwości – musiał stać się artystą, a pomoc miała mu w tym Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie. Zanim dostał się na uczelnię, szlifował swój talent w bielskim ognisku artystycznym. W końcu, w 1955 roku, po trzykrotnym podejściu do egzaminu wstępnego, został przyjęty w poczet młodych artystów.

Czasy studiów wspomina jako jeden z najpiękniejszych okresów w swoim życiu. Choć bywało trudno z powodów finansowych, to dzięki krakowskiemu środowisku artystycznemu w jego życiu pojawiły się niezwykle osobowości, należące dzisiaj do legend i sław polskiej sztuki. Artysta w okresie studenckim miał okazję spotkać się z takimi znakomitościami, jak na

przykład malarz Czesław Rzepiński, u którego wielokrotnie bywał w pracowni. Jako student kształcił się u znanych polskich kolorystów: Hanny Rudzkiej-Cybisowej, Jerzego Fedkowicza, Zbigniewa Pronaszkę, a także Jonasza Sterna z Grupy Krakowskiej, który opiekował się młodymi artystami z domu studenckiego. Swoją akademicką edukację Leszczyński ukończył w 1961 roku, uzyskując dyplom w pracowni prof. Hanny Rudzkiej-Cybisowej.

Nie od razu Leszczyński chciał zostać malarzem. Jedną z jego pierwszych pasji było pisarstwo. Częściowo nawet udało mu się realizować literackie marzenia. Przez długie lata pisał pamiętnik, którego fragmenty – jak wspomina – czytane były przez Mariusza Dmochowskiego w radiowej Jedynce w audycji „Debiuty Pisarskie” w latach 50. Dotyczyły jego nieszczęśliwej, nieodwzajemnionej miłości do pięknej dziewczyny. Jeszcze większym sukcesem była powieść *Szarlatan*. Dzieło to, o autobiograficznych elementach, zostało dostrzeżone przez krytyków, w 1973 roku otrzymało drugą nagrodę w ogólnopolskim konkursie na debiuty literackie, przyznaną przez Związek Literatów Polskich, Ludową Spółdzielnię Wydawniczą oraz Związek Młodzieży Polskiej. Swoje zdolności w pracy nad słowem ujawniał również, pisząc w późniejszych latach teksty krytyczne do katalogów, opracowania biograficzne artystów okręgu biel-

Justyna W. Łabędź
– polonistka i historyczka
sztuki, pracuje
w Galerii Bielskiej BWA.



Na wernisażu w Aquarium
 Krzysztof Morcinek

skiego do „Kalendarza Beskidzkiego” (jak twierdzi, w sumie nakreślił 100 takich sylwetek), a także publikując teksty w „Informatorze Kulturalnym Województwa Bielskiego”.

Po studiach był, jak to określa, przesiąknięty ciemnymi barwami, tzw. monachijskimi sosami, które wylewały się na jego płótna. Aż w końcu postanowił z nimi zerwać, przechodząc w stronę mocnego koloru oraz abstrakcji inspirowanej dokonaniem Wassilego Kandinskiego, Joana Miró, Pabla Picassa czy też Paula Klee. Właściwie do dnia dzisiejszego pozostał wierny abstrakcyjnemu widzeniu świata, odwołując się w rysunkach i obrazach do wielkich mistrzów, jednocześnie wykorzystując czasami figuratywne przedstawienia. – Zawsze musi być jakiś punkt odniesienia, przeglądam albumy, wertuję różne czasopisma, w końcu wybieram: tu fragment Picassa, tu Modiglianiego i tak powstaje moja kompozycja – mówi artysta o swoich inspiracjach. Przez kilkadziesiąt lat jego twórczości nie zmieniło się jedno – kolorystyka prac, malarza wyróżniają mocne, kontrastowe zestawienia barwne.

W 1962 roku Julian Jacek Leszczyński dołączył do Związku Polskich Artystów Plastyków. Po studiach powrócił do Bielska-Białej. Imał się początkowo różnych prac, był na przykład urzędnikiem w referacie kultury w Pszczynie, bibliotekarzem. Realizował się twórczo również przez pewien czas w bielskim Studiu Filmów Rysunkowych, a także... jako dekorator w sklepach MHD i gastronomii. Aż w końcu w 1973 roku postanowił całkowicie poświęcić się pracy artystycznej. Od tego czasu skupił się na malarstwie. Tworzy również kolaże, rysunki na brystolu, drzeworyty. W tym samym czasie zaczął pracować pod pseudonim „Yale”, widocznym w sygnaturze wielu jego dzieł. W latach 1966–1990 artysta wielokrotnie brał udział w konkursie malarstwa „Bielska Jesień” – zarówno poddając swoje prace ocenie jury, jak i zajmując się jego organizacją. Uczestniczył w przeglądach środowiskowych i poplenerowych. Miał również kilka wystaw indywidualnych, m.in. *Rysunki i malarstwo z lat 1962–1969* w 1969 roku w Pawilonie Wystawowym ZPAP i ekspozycję w Klubie Nauczyciela w Bielsku-Białej w 2013 roku. Zaś od lat 70. nie tylko sam tworzył, ale starał się także promować artystów, jako komisarz i juror wielu wystaw w bielskim Biurze Wystaw Artystycznych.

Od kilku lat Leszczyński stał się również „bielskim portrecistą” – towarzysząc Andrzejowi Ziolkowi, autorowi kroniki wydarzeń kulturalnych Bielska-Białej pisanej od lat 70., tworzy portrety znanych ludzi, któ-

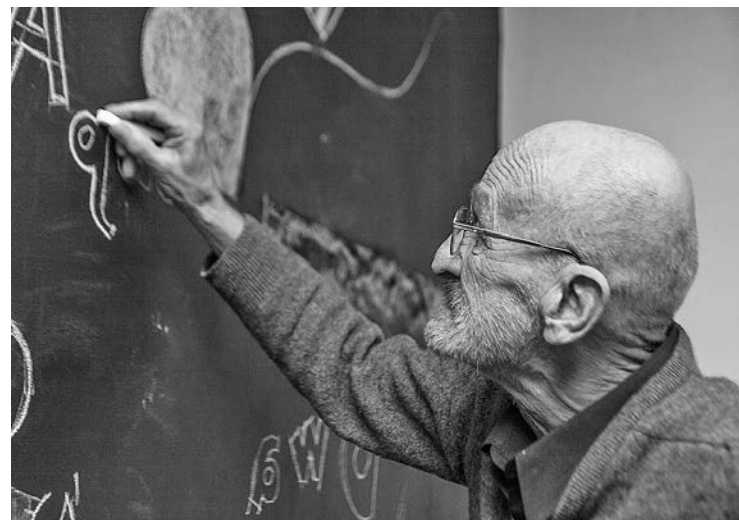
rzy pojawiają się w mieście. Rysuje je zwykle w przeciągu kilku minut flamastrami. Obecnie zbiór liczy około 200 różnych sportretowanych osób.

Artysta podkreśla niezwykle znaczenie ludzi pojawiających się w jego życiu, dzięki którym może również obecnie tworzyć. Szczególnie ważni dla niego są prywatni kolekcjonerzy, jak np. Michał Górecki, który „zastrzykami finansowymi” wspomaga artystę oraz motywuje do dalszego tworzenia.

Julian Jacek Leszczyński mówi o sobie, że jest wiecznym tułaczem, ponieważ wielokrotnie zmieniał adresy. – Mieszkalem na ulicach: Cechowej, Partyzantów, Batorego, w Straconce, w slamsach w Wapienicy. Tułałem się po Bielsku, po różnych miejscach. Teraz mieszkam w domu dla bezdomnych, ale dobrze mi tam jest, naprawdę. Mam duży, jasny pokój, co pomaga mi w malowaniu.

Począwszy od lat 70. konsekwentnie tworzy i sztuce podporządkowuje swoje życie. W wywiadzie udzielonym w trakcie wernisażu telewizji regionalnej mówił: – Sztuka przenosi mnie w inne światy, sztuka to moje życie, sztuka jest moim bogiem. Jeden z mędrców powiedział: gdybym nie pracował, zginęłyby światy. Ja też mówię za nim: gdybym nie malował, zginęłyby światy, nie tylko ten, na którym żyjemy, ale wszystkie inne, galaktyka itd. Ja muszę tworzyć, muszę malować. To jest moje życie. □

Julian Jacek Leszczyński: *Sprzężenie zwrotne*, Galeria Bielska BWA – Klubokawiarnia Aquarium, 10 stycznia – 6 marca 2016.



* Obecnie Iwano-Frankiwnsk, należący do Ukrainy.



Agnieszka Kobiątka

Jak ryby w wodzie

Na pierwszym piętrze Galerii Bielskiej BWA, w przestronnym pomieszczeniu z sześciometrowymi oknami do samego sufitu, w otoczeniu sztuki mieści się Klubokawiarnia Aquarium.

Agnieszka Kobiątka

– absolwentka filologii polskiej UJ, recenzentka z zamiłowania, interesuje się teatrem i muzyką rockową.

To miejsce z dobrą kawą – typu specjality, parzoną na różne, także alternatywne sposoby – i dużą liczbą wydarzeń kulturalnych: spotkań, warsztatów, koncertów, pokazów filmowych. Nie brakuje również rybek... Pływających w akwariu i obsługujących kawiarnię – bo pracownicy tak siebie nazywają i tak też zwracają się do

nich goście. Zanurzymy się więc i zobaczymy, co oprócz rybek skrywa bielskie Aquarium.

Można rzec, iż wszystko zaczęło się w 2013 roku. Wtedy to Magdalena Jeż, założycielka Fundacji Kultury Kalejdoskop, absolwentka animacji społeczno-kulturalnej i etnologii w Cieszynie, wpadła na pomysł stworzenia w Bielsku-Białej miejsca łączącego działalność gastronomiczną z aktywnością kulturalną. W czerwcu 2014 roku słowo stało się ciałem i „wszystko rozśpiewało się wokoło”. Na ul. 3 Maja 11 powstała Klubokawiarnia Aquarium, w której tradycyjne, dotyczące jedzenia i picia menu łączy się z menu kulturalnym, a szefem i dobrym duchem jest właśnie wspomniana Magda. Znajdziemy tu więc strawę nie tylko dla ciała – w postaci kaw z najlepszych polskich i zagranicznych palarni, herbat organicznych, soków z tłoczni, piw z niszowych browarów, win domowych, ciasta, zdrowych przekąsek; ale i dla ducha – za sprawą bardzo bogatej oferty kulturalnej. Wszystko to dla odbiorców w różnym wieku – i mały, i duży znajdzie tu coś dla siebie.

W klubokawiarni prawie każdego dnia coś się dzieje. W menu są zajęcia i spotkania cykliczne, takie jak: „Ba-juBajki, czyli czytanie dzieciom”, „Klub małego podróżnika”, „Filmowe wtorki”, giełda płyt winylowych, spotkania w ramach cyklu „Ludzie z bzikiem” i „Podróże przy kawie”, „Warsztaty z Momolokami”, Bielska Kuchnia Społeczna czy Bielski Klub Rodzica.

W Aquarium można też oglądać dzieła sztuki. Zawsze na jednej ze ścian znajduje się fragment ekspozycji z górnej sali Galerii Bielskiej BWA albo niezależna wystawa (jak np. fotografii *Migawka 2014* czy malarstwa Juliana Jacka Leszczyńskiego *Sprzężenie zwrotne*). Z kolei na pomalowanej farbą tablicową ścianie można podziwiać kredowe murale, które powstają na oczach odwiedzających kawiarnię gości. Do tej pory powstało 16 takich dzieł. Tworzyli je m.in. Alicja Jakimów (także

autorka aranżacji wnętrza Aquarium), Magdalena Bi-łuńska, Katarzyna Krutak, Małgorzata Rozenau, Maciej Szymonowicz i Katarzyna Dyga-Szymonowicz, Karina Czernek, Marcin Malicki, Raquel Gomez Dueñas. Warto dodać, że możliwość wypowiedzi artystycznej mają nie tylko twórcy posiadający już dorobek, ale również młodzi absolwenci akademii sztuk pięknych.

Chlebem powszednim są również koncerty. Aquarium gościło u siebie takich muzyków, jak Krzysztof Ścierański, Piotr Wróbel z zespołem Riffertone, Phillip Bracken czy Karl Culley. W 2015 roku odbył się cykl koncertów *Muzyka w Aquarium*, którego organizatorem była Fundacja Kultury Kalejdoskop we współpracy z Galerią Bielską BWA i Miastem Bielsko-Biała, a kierownikiem artystycznym ceniony basista Robert Szewczuga. W ramach cyklu wystąpili: Szewczuga Trio, Jorgos Skolias

Jam świąteczny
organizowany przez
Roberta Szewczugę

Koncert Maciejowski
Jazz Land

📷 Adrian Pytlik



i Bronisław Duży, Ghostman/Szewczuga/Maciejowski, Beata Przybytek, Bye Bye Butterfly, Szczerbate Zajęczki, Maciejowski Jazz Land, Beata Bednarz. Współpracę z klubokawiarnią nawiązał też Jerzy Roślowski, niegdyś założyciel klubu jazzowego Piątawka, organizując m.in. imprezę „Kombinat #1” (21 listopada 2015), podczas której wystąpili: Organek, Mikromusic, Gooral, Mystic Lab, Usta Ćmy, Ghostman oraz Kołakowski:Wykpisz:Korelus. Jedna z trzech scen znalazła się w Aquarium. Tutaj też swoje dzieła tworzyła na żywo Małgorzata Rozenau, a wizualizację pokazywała Alicja Jakimów.

Na tym jednak nie koniec. W bielskiej klubokawiarni miały miejsce degustacje kawy (profesjonalnie zwane *cuppingami*), spotkania z zakresu emisji głosu (współpraca z Eufonią), popołudnia z gramii planszowymi (współpraca ze sklepem hobbystycznym Gnom), a na placu przed Banialuką można było poćwiczyć jogę (współpraca ze Studium Dakini). W Aquarium gościł również teatr. W listopadzie 2014 roku bielszczanie mieli okazję obejrzeć opowiadający o miłości we współczesnym świecie monodram Artura Pałgi pt. *Love* w reżyserii Bogusława Słupczyńskiego. Ponadto klubokawiarnia jest organizatorem gier miejskich (*Co w mieście piszczy*, *W poszukiwaniu sekretów miasta*, *Tropem miejskich tajemnic*) i miejscem, w którym odbywają się premiery najnowszych numerów magazynu tworzonego przez młodzieżową „redakcjęBB”.

Do tego dochodzi współpraca ze Stowarzyszeniem Podbeskidzki Przegląd Muzyczny, które organizuje tu swoje koncerty. Z grupą Momoloki, która robi warsztaty dla dzieci. Z pracownią Pan Bon Ton, która drukuje m.in. kartki, papeterie, wizytówki na prasach z początku XX wieku, i Stowarzyszeniem Vege Inicjatywa, które organizuje w Bielsku-Białej Kuchnię Społeczną.

Ufff, sporo się dzieje w Klubokawiarni Aquarium. I pewnie będzie się działo jeszcze więcej, bo Fundacja Kultury Kalejdoskop jest otwarta na nowości. Bardzo zależy jej na tym, żeby być przestrzenią dla wszystkich – zarówno śmiałków lubiących wypływać na szerokie wody i wprowadzać w życie swoje pasje, jak i grubych ryb, które realizują już własne marzenia. I tak bielska kawiarnia walczy o własną wybitność każdego dnia.

Czy Aquarium stanie się miejscem kultowym? Czas pokaże. Ale już dziś jest dla wielu osób czymś więcej niż tylko lokalem. To swego rodzaju styl bycia. To dawka autentyczności, „poważnego rozbawienia” i „rozbawionej powagi”, pozytywnych wibracji i energii – wciągający aqualimat. To odkrywanie rzeczywistości na nowo

(gdyby nie Aquarium pewne zjawiska – kulinarne i kulturalne – pozostałyby niezauważone). To niekończąca się wymiana myśli – możliwość prowadzenia wielu ciekawych rozmów i aktywnego uczestnictwa w kreowaniu życia kulturalnego. To dbałość o szczegóły. „Tak mi dobrze, tak moją, aż rechoce się serce” – jak pisze Bruno Jasiński. W rezultacie – każde wydarzenie jest niezwykle i niepowtarzalne, i niczym potężne sprężyny pozwala posuwać się naprzód. Hmm, podobno nie ma ludzi niezastąpionych. Ale to nieprawda. Twórcy i pracownicy Aquarium, którzy czują się w gastronomiczno-kulturalnym środowisku jak ryby w wodzie, są na to najlepszym dowodem. □

Klubokawiarnia Aquarium, Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11 (na piętrze), www.facebook.com/klubokawiarnia.aquarium, aquarium@fundacja-kalejdoskop.org



Wiele jest w Bielsku-Białej i okolicy ciekawych miejsc, których gospodarze podejmują trud łączenia działalności kulturalnej z konsumpcyjną. Jednym udaje się to lepiej, innym gorzej. Jedni robią to z prawdziwą pasją, inni ze względów komercyjnych. Drodzy Czytelnicy, znacie takie miejsca? Macie swoje ulubione? Uważacie, że warto je spopularyzować? Podzielcie się z nami i innymi czytelnikami tą wiedzą. Napiszcie o takich miejscach.

Mural kredowy autorstwa pracowni Pan Bon Ton
 Adrian Pytlik





Otwieram 50. rocznik „Kalendarza Beskidzkiego” i zacznę od kalendarium: piękno beskidzkiej przyrody w obiektywie Stanisława Skwierawskiego zestawione tym razem z kulinarnymi przepisami i wierszami Juliusza Wątroby, poświęconymi dwunastu beskidzkim miejscowościom.

Jestem jedną z autorek tego periodyku, a zarazem jego zagorzałą czytelniczką. Czytam z ciekawością niemal wszystkie teksty. Nawet jeśli dotyczą Żywiecczyny, mniej interesującej mnie z racji moich korzeni, które częściowo tkwią w ziemi cieszyńskiej. Nawet jeśli dotyczą przemysłu samochodowego, choć z trudem odróżniam jedną markę auta od drugiej. Wszystkie mają w sobie to coś, co sprawia, że budzi się w czytelniku

Magdalena Legendź

Ludzie na pierwszym planie



Promocja „Kalendarza Beskidzkiego” na zamku Sułkowskich: Andrzej Ziomek, Julian J. Leszczyński i Katarzyna Żaczek oraz zespół Mariusza Śniegulskiego

☞ Stanisław Skwierawski

poczucie dumy z przynależności do tego miejsca, do tego ciągu pokoleń trudzących się dla *dobra wspólnego*. Pokoleń pochodzących z różnych stron i regionów, zespolonych administracyjną decyzją w zlepek nieistniejącego już województwa bielskiego. W tę wspólną historię Żywcoki, Cieszynioki, Gorole i Hanysy [sic!] wnieśli jednak coś charakterystycznego, atrakcyjnego i wartego pielęgnowania.

– Cieszę się, że mogłem redagować rocznik jubileuszowy, pięćdziesiąty, i kontynuować tradycje zapoczątkowane przez Władysława Czaję, Stanisława Oczkę i Antoniego Hałatka, którzy w 1960 roku wydali pierwszy numer poświęcony życiu Bielska-Białej oraz jego szerokiej okolicy – mówi redaktor naczelny Jan Picheta.

Początki wydawania periodyku wspomina w artykule „Sześćdziesiątka” regionalistów Stanisław Biłka, obecny prezes TMZBB: *Towarzystwo Miłośników Bielska-Białej z siedzibą na Zamku Sułkowskich wydało pierwszy z 44 kolejnych roczników „Kalendarza Beskidzkiego” w 1960 r. We wstępie do pierwszego numeru napisano: Wydawnictwem tego typu pragniemy zainicjować zaniedbaną i pozbawioną ciągłości kronikę regionu. W kolegium redakcyjnym pod przewodnictwem Władysława Czai pracowali Erwin Brożek, Adam Hajduk, Antoni Hałatek, Stanisław Oczko, Zdzisław Maria Okuljar, Bernadetta Turno. Kalendarz opracował graficznie malarz Ignacy Bieniek. Zdjęcia wykonywali Mieczysław Peterek i Tadeusz Patan. Później w kolegium działali m.in. Bolesław Lubosz, Leopold Dutkiewicz, Leszek Mech, Zbigniew Loegler, Karol Stawowy, Stanisław Gola, Piotr Wysocki, Zdzisław Niemiec, Ignacy Kania, Jan Picheta.*

Ta skrupulatna kronikarskość polegała w dawniejszych numerach na skrzętnym odnotowywaniu rocznic licznych instytucji czy organizacji. Tworzący je ludzie mogli zaistnieć niejako tylko na marginesie ważnych w lokalnej skali lub tylko „słusznych” wydarzeń. W rocz-

nikach, od 2011 roku wydawanych wspólnie przez Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia oraz Towarzystwo Miłośników Ziemi Bielsko-Bialskiej, porzucono tę linię sztabowych laurek. Postawiono na teksty reportażowe, zwracające uwagę różnorodnością tematyczną i geograficzną, bogato ilustrowane. Na pierwszym planie znaleźli się ludzie.

– Na pierwszym planie przy doborze tekstów zawsze jest coś, co sprawia, że osoba czy ród, o których piszemy, mają pewne zasługi dla rozwoju tej ziemi – mówi redaktor naczelny. – Nasz periodyk obejmuje tereny od Soły aż po Ostrawicę. Zaświadczą, że ludzie się utożsamiają ze swoim miejscem na ziemi.

A ludzie tak pojętego regionu są różni – sławni i mało znani, dawni i współcześni, katolicy i ewangelicy. Są wśród nich sportowcy: z kolarzem Przemysławem Niemcem z Pisarzowic na Lagos de Covadonga pomaga się nam wybrać Dobrosław Barwicki-Picheta, który towarzyszy także biegaczowi Edwardowi Dudkowi. Są ludzie kultury – *Dziewczynę z Małego Wiednia*, aktorkę, popularną dzięki serialowi *Klan*, Barbarę Bursztynowicz przypomina Małgorzata I. Skórska, która opisuje również *Artystyczne pasje Golców*. *Człowieka – muzykę*, czyli instrumentalistę Antoniego Gluzę ze Szczyrku przedstawia Katarzyna Żaczek, a na temat bielskiego życia kabaretowego mówi jego twórca Piotr Skucha. *Coraz więcej olśnień* doznaje Jan Picheta, czytając wiersze Jerzego Kronholda. Są też całe rody, jak Miodońscy z Żywiecczyny, wywodzący się z Zaolzia Buzkowie czy mający główne gniazdo w Wiśle Cieślarowie, mocno związani z ewangelicyzmem i podtrzymujący rodzinne więzi na specjalnie organizowanych zjazdach. Przeczytać można o nich w dziale *Historie z tej ziemi*, zawierającym też kilka interesujących tekstów o osobach zaangażowanych w działalność publiczną czy polityczną, m.in. o zaolziańskim pośle Karolu Jundze, żołnierzu NSZ Henry-

Na poprzedniej stronie: Grażyna Staniszeńska i Jan Picheta (z prawej) podczas wręczenia Nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Z lewej przedstawiciele redakcji górnośląskiego „Echa” (wyróżnienie) ☞ Andrzej Stawiarski (SDP)



ku Flame „Bartku”, franciszkaninie Michale Tomaszku. *Tego nie dowiecie się w szkole* – myślę tytułem popularnej kiedyś książki Wojciecha Wiśniewskiego o pisarzach, gdy sięgam po teksty o ludziach zwyczajnych, a ciekawych przez to, że związanych mocno z rodzinnymi stronami, angażujących się w zawodową czy społeczną działalność. Tak jak tajemnicza łodygowicka fotografka Stefania Gurdowa, o której pisze Paulina Dobija, czy najstarszy bielski instalator Erwin Ścieszka, którego na światło dzienne wyciągnął Stanisław Biłka. Oczywiście pewne rocznicowe ukłony są nieodzowne. Trudno przecież nie poddać analizie 70 lat działalności bielskiego oddziału ZPAP-u (Janusz Gembalski) czy 65-lecia Sceny Polskiej Teatru Czeskocieszyńskiego (Mirosława Pindór), gdzie istnieje jedyny polski zawodowy zespół poza granicami naszego kraju. Zaolzie, czy szerzej Śląsk Cieszyński, którego jest ono częścią, pojawia się zresztą w tym roczniku w kilku tekstach. – Pierwszy redaktor, Władysław Czaja, urodził się w Boguminie, dzisiaj w Czechach. Zamieszczał artykuły podejmujące zaolziańskie tematy, a ja to jako redaktor kontynuuję. Nie powinniśmy zapominać o ludziach, Polakach, którzy tam mieszkają, zwłaszcza że większość naszych rodaków w kraju nie wie, gdzie to Zaolzie, że mieszkają tam jacyś Polacy, tak samo jak we Lwowie czy Solecznikach. Mimo prób wynaradawiania są to Polacy wysokiej próby. Przypominać o nich to nasza powinność – mówi Jan Picheta. W tym kontekście mocno, zapewne dla wielu kontrowersyjnie, brzmią tezy tekstu Beaty Tyryn i Jarosława Jot-Drużyckiego *Cesarocki porządek świata*, eksplorującego niektóre tabu i poddającego próbie pewne mity funkcjonujące na ziemi cieszyńskiej. Warto jeszcze wspomnieć teksty o teatrze za czasów Sułkowskich, kaflach z bielskiego zamku, dziedzicznym

dworcu kolejowym, o... Nie mogę przestać wymieniać, bo almanach jest wielowymiarowy, a świat, gdy zajrzy się do „Kalendarza Beskidzkiego”, po prostu ciekawy. □

„Kalendarz Beskidzki 2016. Historie z tej ziemi”, redakcja Jan Picheta, wydawca Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia we współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Bielsko-Bialskiej, Bielsko-Biała 2015, s. 312. Polecamy też stronę internetową: www.kalendarz.bielsko.biala.pl.



Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich uhonorowało redakcję „Kalendarza Beskidzkiego” nagrodą im. Aleksandra Milskiego (dla redakcji mediów lokalnych), którą 28 stycznia odebrali: Grażyna Staniszevska – wydawca, prezes Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia, oraz redaktor naczelny Jan Picheta. W uzasadnieniu prezes SDP Krzysztof Skowroński napisał, że redakcja bielskiego rocznika otrzymała laur za *odwagę robienia rzeczy solidnych w czasie pośpiesznej bylejakości i za kompetencję w podejściu do poruszanych tematów, wreszcie – last not least – chwałębną staroświeckość rozumianą jako dziennikarską służbę publiczną, która każe koncentrować się na temacie, bohaterze, formie, a nie na autorze tekstu.*

Magdalena Legendź,
Władysław Magiera,
Jan Picheta, Karol Cieślak
i Bogusław Chorąży
(w drugim rzędzie)
podczas promocji
☞ Stanisław Skwierawski



Rodzina Schwabe

Dzwony krosna elektromotory...

Piotr Kenig

Przed stu laty nazwisko Schwabe kojarzono w Bielsku-Białej z dwoma firmami: niewielką, lecz renomowaną ludwisarnią funkcjonującą w galicyjskiej części dwumiasta oraz dużą fabryką krosien i silników elektrycznych na bielskim Dolnym Przedmieściu. Prowadzone przez dwóch rodzonych braci zakłady różniły się profilem produkcji, a zwłaszcza skalą przedsięwzięcia, jednak oba były znane daleko poza granicami tutejszego ośrodka przemysłowego.



Pierwsza powstała odlewnia dzwonów. Jej założyciel, Karl Traugott Friedrich Schwabe (1819–1873) urodził się w Chemnitz w Saksonii. Ewangelik wyznania augsburskiego (luteranin), był synem fabrykanta drukowanych tkanin bawełnianych Christiana Leberechta Schwabego i jego żony Johanny Amalii Siebenkäs. Według tradycji rodzinnej przybył do Białej w 1846 r., gdzie wkrótce poślubił córkę miejscowego sukiennika Eleonorę Justinę Grell (1824–1888), zwaną Augustą – ponoć wbrew woli jej ojca. Akt ślubu nie zachował się, jednak już w 1850 r. przy chrzcie najstarszego syna Karl Traugott odnotowany został jako ludwisarz (*Glockengießer*). O pierwszym półwieczu działalności firmy brak bliższych wiadomości. Początkowo niewielkie przedsiębiorstwo ulokowane było prawdopodobnie przy tzw. placu Deskowym, pod numerem Biała 293, na terenie później włączonym do fabryki likierów Jakoba Großa (portiernia i kotłownia, obecnie ul. S. Stojałowskiego 61). W każdym razie pod tym adresem mieszkali małżonkowie przynajmniej do jesieni 1860 r., tutaj przysłała na świat szóstka ich dzieci. W 1871 r., gdy po dziesięcioletniej przerwie urodził się kolejny syn, Schwabe był już właścicielem nowej nieruchomości, położonej na przeciwnym brzegu potoku Niwka, w pobliżu plebanii kościoła katolickiego pw. Opatrzności Bożej. W skład posesji wchodził parterowy budynek Biała 36 z podwórzem i ogrodem na zapleczu, gdzie w dwóch niewielkich drewnianych szopach urzą-

dzono warsztaty. Ulicę, przy której stał budynek, zwano Nad Niwką (niem. *Augasse*, obecnie S. Stojałowskiego), pod koniec XIX w. dom otrzymał numer porządkowy 60.

Niedługo po przeprowadzce Schwabe zmarł. Spośród jego sześciu synów trzech żyło bardzo krótko, najstarszy Karl odziedziczył firmę, a młodszy – Georg i Gustav – zostali inżynierami. Jedyna córka, Ida (1859–1927), pozostała panną, zmarła w Opawie.

Pod kierownictwem Karla Gustava Schwabego (1850–1931) zakład stał się szeroko znany, choć zatrudniał zaledwie kilkunastu robotników, a praca w nim miała charakter na wpół rzemieślniczy. W 1907 r. szef firmy kupił piętrowy dom Biała 35 (ul. Nad Niwką 62, obecnie pl. Opatrzności Bożej 20) wraz z rozległym ogrodem, sąsiadującym z dotychczasową posesją od wschodu i południa. Odtąd należał do niego teren od ul. Nad Niwką po ul. Zamkową – wąską uliczkę pośród ogrodów, łączącą niegdyś ul. Szpitalną (R. Dmowskiego) z dawnym dworem starostów lipnickich. Od strony owej *Schloßgasse* utworzono nowy dojazd do ludwisarni, gotowe dzwony transportowano zaprzęgami konnymi. W tym czasie napędu do urządzeń dostarczał silnik spalinowy, a obok dzwonów kościelnych wytwarzano również świeczniki ołtarzowe i inne wyroby odlewane. Rynkiem zbytu była Galicja oraz „sąsiednie kraje koronne”, tj. Śląsk Austriacki i Węgry (Słowacja).

Okresem wielkiej prosperity były lata po zakończeniu I wojny światowej, podczas której w całej Europie wielkie ilości dzwonów zarekwirowano i przetopiono na potrzeby przemysłu zbrojeniowego. Teraz zamawiano nowe, dzięki czemu firma realizowała mnóstwo zleceń. Zarobione pieniądze inwestowano: rozbudowano warsztaty, a także dom mieszkalny przy ul. Nad Niwką 62 – nadbudowany o dwa piętra stał się okazałą kamienicą.

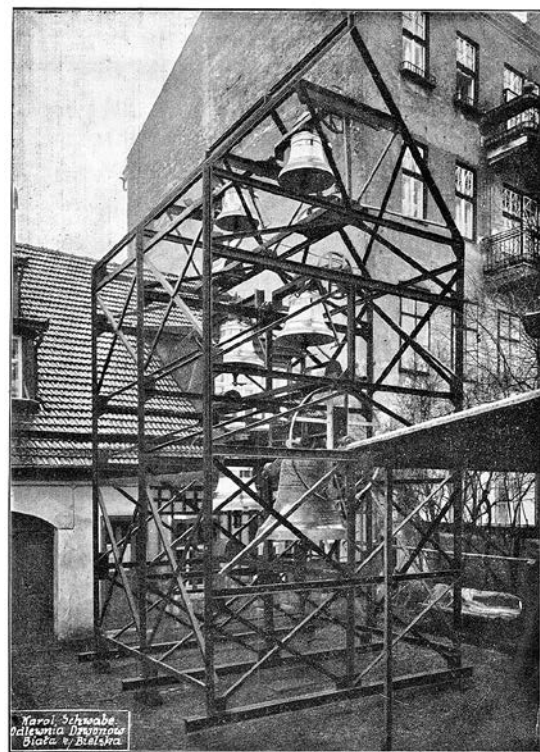
Karl Schwabe prowadził ludwisarnię przez ponad pół wieku, zmarł 31 grudnia 1931 r. Był członkiem białskiej Rady Miejskiej, Bielsko-Bialskiego Towarzystwa Śpiewaczego, filantropem i dobroczyńcą parafii ewangelickiej. W 1881 r. ożenił się z Emmą Büttner (1859–1931), córką bielskiego fabrykanta sukna z Żywieckiego Przedmieścia (dziś Stara Fabryka). Miał z nią trzy córki i dwóch synów. Margarete (1882–1939) wyszła za oficera armii austriackiej Josefa Lahotę, zmarła w Zagrzebiu. Gertrud (1885–1945) poślubiła Oskara Proskego, urzędnika bankowego z Bielska, a Hermine (1894–1973) bielskiego mistrza budowlanego Adolfa Lukawskiego – po wojnie jako wdowa mieszkała w Linzu. Synowie przejęli firmę po śmierci ojca. Karl Traugott Schwabe (1883–?),

od 1924 r. żonaty z Verą Andori, córką urzędnika węgierskich kolei państwowych z Budapesztu, po 1930 r. zamieszkał we własnej willi przy ul. Hettwerowej 368 (obecnie W. Broniewskiego). Natomiast Oskar Georg Schwabe (1889–1945), który po rozwodzie z pierwszą żoną poślubił w 1925 r. białankę Elvirę Willmann, w 1934 r. przeprowadził się z rodziną do nowo wybudowanego domu przy ul. A. Mickiewicza (dzisiaj ul. J. Lelewela 20).

Prospekt reklamowy z lat 30. XX w. informował: *Pierwsza Krajowa Odlewnia Dzwonów i Metali Karol Schwabe i Ska, Biała koło Bielska. (...) Istnieje przeszło 100 lat [sic!]. Odnaczona 20-tu premiami. 2 nagrody państwowe. 12 złotych medali. Grand Prix Rzym 1926. Gniezno 1925, Rzym 1926, Częstochowa 1926, Wilno 1928, P.W.K. Poznań 1929, Wilno 1930, Kalisz 1931, Radom 1932. Dostarcza: dzwony kościelne każdego ciężaru i stroju z najlepszego, gwarantowanego spiżu, o głosie dźwięcznym, pełnym i donośnym. Przelewa pęknięte dzwony i dostraja nowe pod gwarancją czystej harmonii do już istniejących. Podstawy (konstrukcje) żelazne, elektryczne popędy motorowe, dzwonki sygnaturowe i szkolne, dzwonki pojedyncze, ręczne, harmonijne dzwonki zakrystyjne, ołtarzowe, 3, 4, 6 lub 8 głosowe, kłosze zegarowe, lichtarze brązowe lub mosiężne. Przemontowuje stare systemy dzwonienia na nowe (dwurzędowe, szwedzkie łóżyska kulkowe).*

W tym czasie trzecim współwłaścicielem przedsiębiorstwa został Wilfried Proske (1908–1983), siostrzeniec Karla i Oskara. W 1938 r. kapitał zakładowy firmy wynosił 200.000 zł, energii dla maszyn i urządzeń dostarczał silnik elektryczny o mocy 19 KM, a zakład łącznie z budynkami mieszkalnymi zajmował powierzchnię 2670 m². Dysponowano formiarnią, ślusarnią, odlewnią i stolarnią, zatrudniano 19 robotników i 2 urzędników. Obok odlewów ze spiżu i innych metali produkowano również wyroby toczone i ślusarskie. Dzwony, poza Polską, dostarczano do Niemiec, Austrii i Czechosłowacji.

Pomyślny rozwój firmy przerwała II wojna światowa. Z powodu braku zamówień zaprzestano produkcji dzwonów, pojawiły się natomiast zlecenia na takie odlewy, jak popiersia Führera czy odznaki wojskowe; w 1944 r. zakład całkowicie zamknięto. Po zajęciu Białej przez Armię Czerwoną tragicznie potoczyły się losy właścicieli.

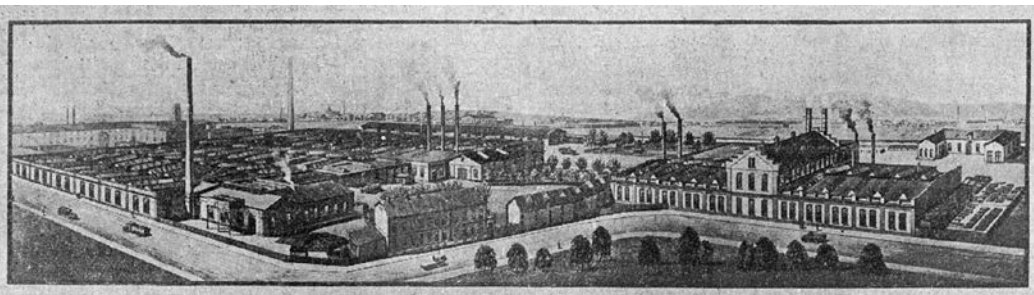


Dziedziniec ludwisarni w Białej – carillon składający się z sześciu dzwonów, dostarczony do parafii w Szamotułach, 1930

Na stronie sąsiedniej: Parterowy dom i fragment kamienicy rodziny Schwabe, pl. Opatrzności Bożej, lata 60. XX w.

Katalog Pierwszej Krajowej Odlewni Dzwonów i Metali Karol Schwabe i Ska, ok. 1932

Piotr Kenig – bielszczanin, historyk, zainteresowany szczególnie dziejami Bielska-Białej w XVIII-XIX wieku. Kustosze i kierownik Starej Fabryki Oddziału Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej.



Indukta współcześnie
 Miroslaw Baca

Fabryka Georga Schwabego,
 grafika z okresu
 międzywojennego



* Pisaliśmy o niej w poprzednim odcinku naszego cyklu.

Oskar Schwabe zginął w kwietniu 1945 r. w obozie pracy w Mysłowicach. Jego żona przetrzymywana była w przejętym przez NKWD i UB obozie w Oświęcimiu, po zwolnieniu wyjechała do Niemiec, gdzie wkrótce zmarła. Cóрка Felizitas spędziła kilka lat w rosyjskim łagrze. W Oświęcimiu zmarli też z wyczerpania Gertruda Proske z mężem Oskarem. Nieznane pozostają losy Karla Schwabego (rozwiódł się w 1940 r.).

Po wojnie odlewnia została upaństwowiona, jednak do produkcji dzwonów nie wrócono. Zlikwidowano ją ostatecznie pod koniec lat 70. XX w. podczas budowy Śródmiejskiego Osiedla Mieszkaniowego. Stary dom przy ul. Nad Niwką 60 oraz zabudowania warsztatowe wyburzono, podobnie jak budynki w sąsiedztwie – obecnie przebiega w tym miejscu ul. W. Broniewskiego. Dobrze zachowany grobowiec, w którym spoczywają założyciel firmy, jego następca oraz ich małżonki, znajduje się przy wschodnim murze cmentarza ewangelickiego w Białej.

W wypadku drugiej firmy sygnowanej nazwiskiem Schwabe nie tylko branża, ale i skala przedsięwzięcia były diametralnie różne. Wbrew funkcjonującej do niedawna obiegowej opinii, młodszy brat Karla Gustava, Georg Friedrich Schwabe (1852–1924), wybitny wynalazca i przemysłowiec, nie był bynajmniej jej założycielem. Jako młodzieniec w latach 1867–1869 zdobył wykształcenie techniczne w firmie Sternickel & Gülcher w Białej, później praktykował w słynnej fabryce maszyn Richarda Hartmanna w Chemnitz, a wreszcie pobierał nauki w tamtejszej Królewskiej Szkole Mistrzów

Fabrycznych (1870–1871). Swoją karierę zawodową związał z firmą R.J. Gülcher, działającą od 1876 r. na terenie macierzystej fabryki w Białej przy ul. Cyniarskiej jako samodzielny zakład budowy maszyn i instalacji elektrotechnicznych*. Początkowo był konstruktorem i prokurentem, w 1884 r. stanął na czele przedsiębiorstwa jako kierownik, a w 1888 r. poślubił siostrę Gülchera, Elbę Marię (1867–?).

Wynalazki Schwabego przyczyniły się do sukcesu firmy: udoskonalone krosno tkackie jego systemu, sprzedawane w dużych ilościach, zapewniło doskonałą prosperity i umożliwiło stopniową rozbudowę przedsiębiorstwa. Na początku lat 90. XIX w. Robert Jakob Gülcher przeniósł się do Berlina, gdzie założył wytwórnię akumulatorów. Firma w Białej, w 1894 r. przepisana na jego żonę, małoletnie dzieci oraz szwagra, zmieniła nazwę na Gülcher & Schwabe, a w 1900 r. przeniesiona została do nowo wybudowanej fabryki przy ówczesnej ul. Rzeźniczej (obecnie M. Grażyńskiego) na Dolnym Przedmieściu w Bielsku.

W 1906 r. Georg Schwabe został wyłącznym właścicielem firmy, działającej odtąd pod jego nazwiskiem i imieniem. Zatrudniała ona blisko 500 robotników i wyposażona była w około 120 różnego rodzaju maszyn. Produkowano przede wszystkim mechaniczne krosna tkackie do różnego rodzaju tkanin wełnianych, ponadto snowarki, klejarki i suszarki oraz pełne wyposażenie do pralni wełny, zwłaszcza tzw. lewiatany systemu belgijskiego i maszyny do procesu karbonizacji. Znaczną liczbę krosien eksportowano do Rosji, szczególnie do wielkich fabryk włókienniczych w Królestwie Polskim, a także do Włoch, Rumunii, Bułgarii, Niemiec, Holandii, Szwecji, Norwegii oraz Islandii. Rozbudowany wydział elektrotechniczny wytwarzał dynama do celów oświetleniowych, lampy łukowe oraz wszelkie inne artykuły oświetleniowe, a także silniki elektryczne do napędu maszyn i urządzeń. Również w tej dziedzinie firma należała do najprężniejszych w Austrii.

Przemysłowiec mieszkał początkowo w kamienicy przy pl. Józefa w Białej (obecnie pl. Wojska Polskiego 9), około 1899 r. przeprowadził się do nowo zbudowanego domu dr. Kwiecińskiego przy ul. Kolejowej (Legionów 13). Z czasem wzrastający majątek pozwolił mu na prestiżowe inwestycje. W 1907 r. w Olszówce Górnej przy dzisiejszej ul. Młodzieżowej 7 zbudował okazałą willę, wzorowaną na architekturze alpejskich kurortów, obok której założono piękny park. Nieco później, po 1908 r., kupił wielką kamienicę w Bielsku przy reprezentacyj-



nej ul. Cesarza Franciszka Józefa, na rogu ul. T. Sixta (obecnie 3 Maja 27), gdzie zamieszkał na stałe (budynek wznosił Karl Korn w 1899 r. dla Michaela Neumanna, ten po 1904 r. odsprzedał go Bercie Mikesch).

Georg Schwabe zmarł 19 stycznia 1924 r. Spoczął na nowym cmentarzu ewangelickim w Bielsku przy ul. Listopadowej, w mauzoleum przy murze południowym, w sąsiedztwie swojego szwagra Gustava Josephy'ego. Spośród jego siedmiorga potomstwa dwoje dzieci szybko zmarło, losy córek Elsy (1889) i Marty (1895) pozostają nieznane, natomiast Erna (1891–1978) poślubiła bielszczanina, doktora praw Paula Tischlera. Synowie, Kurt Paul (1902–?) i Georg Rudolf (1905–?) odziedziczyli fabrykę, prowadząc ją pod dotychczasową nazwą wraz z matką, a od 1937 r. samodzielnie. W latach 1928–1937 działała filia w Łomnicy koło Jeleniej Góry (Hirschberg, Niemcy); w Bielsku przed 1934 r. rozpoczęto produkcję maszyny do szycia Tatra (pierwsza fabryka tego typu w Polsce). W 1938 r. zakład zajmował 25.000 m² powierzchni, napędu dostarczały maszyny parowe o mocy 380 KM, zatrudniano 500 robotników, 8 osób personelu technicznego i 25 urzędników. Obok 8 krajowych przedstawicielstw firmy działały zagraniczne, ulokowane w 15 państwach Europy oraz w Argentynie, Brazylii, Egipcie, Kolumbii, Iranie, Meksyku i Urugwaju.

Podczas II wojny światowej podjęto produkcję dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy, wytwarzając m.in. zapalniki do bomb głębinowych, części do okrętów podwodnych oraz rakiet V1 i V2. Przeprowadzono też kilka inwestycji, m.in. przebudowano dach oraz elewację odlewni. Zimą 1944/1945 ewakuowano do Austrii część maszyn i dokumentacji.

Po 1945 r. zakład upaństwowiono, przy czym decyzją władz centralnych zaprzestano produkcji maszyn włókienniczych. Od 1951 r. dawna fabryka Schwabe go nosiła nazwę Bielskie Zakłady Wytwórcze Silników

Elektrycznych M-8, a od 1965 r. znana była jako Fabryka Maszyn Elektrycznych Indukta.

O powojennych losach ostatnich właścicieli brak bliższych informacji. Kurt Schwabe podjął próbę odtworzenia rodzinnego przedsiębiorstwa, na przełomie lat 40. i 50. XX w., produkując krosna tkackie w Le Locle w Szwajcarii i uzyskując kilka patentów w dziedzinie włókiennictwa. W latach 60. przebywał w Anglii, tam też prawdopodobnie zmarł. Z nieznaną z nazwiska żoną miał trzech synów i córkę, mieszkali w Salzburgu.

Na zakończenie słów kilka o Gustavie Adolfie Schwabem (1854–1937). Podobnie jak jego starszy brat, w latach 1870–1872 zatrudniony był w fabryce Sternickel & Gülcher w Białej, później trafił do firmy Schwalbe & Sohn w Chemnitz, a wreszcie kształcił się w tamtejszej Królewskiej Szkole Mistrzów Fabrycznych (1873–1874). Przez kilka lat pracował w Nadrenii, następnie był przedstawicielem firmy R.J. Gülcher. W 1889 r. na stałe związał się z Brnem jako dyrektor handlowy Pierwszej Brneńskiej Fabryki Maszyn, działał też jako rzeczoznawca techniczny. W 1933 r. za zasługi na polu elektrotechniki otrzymał doktorat honorowy politechniki w Brunzwicku. Zmarł w Brnie. Jego żoną od 1889 r. była Angela (1870–?), córka fabrykanta sukna i wiceburmistrza Bielska, Karla Traugotta Büttnera. □

Kamienica na ul. 3 Maja 27
📷 Mirosław Baca

Willi w Olszówce Górnej,
lata 60. XX w.

Grobowiec rodziny Schwabe
na cmentarzu w Białej
📷 Piotr Kenig



📷 Reprodukcyjne
archiwalne
ze zbiorów

MB
Muzeum
Historyczne
w Bielsku-Białej



Oczy świata na Wilamowice

Niespełna 23 lata... Tyle mają Justyna Majerska, od dwóch lat prezesująca Stowarzyszeniu na rzecz Zachowania Dziedzictwa Kulturowego Miasta Wilamowice Wilamowianie, oraz Tymoteusz Król, postrzegany jako główny sprawca zwrócenia na Wilamowice oczu całego świata.

Małgorzata Słonka
Leszek Miłoszewski

Małgorzata Słonka

– w bielskim ROK-u zajmuje się sprawami wydawniczymi. Redaktor naczelna „Relacji–Interpretacji”.

Leszek Miłoszewski

– były dziennikarz i publicysta, obecnie dyrektor Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej.

„Relacje–Interpretacje”: Ile osób mówi teraz językiem wilamowskim?

Tymoteusz Król: 30 osób mówi nim bardzo dobrze, jako językiem ojczystym, 30 młodych uczy się tego języka, a według niedawnych badań około 400 zna język wilamowski lepiej lub gorzej. To zależy od tego, kiedy ktoś się urodził, ponieważ jego używanie było zabronione od roku 1945. Ci, którzy mówili po wilamowsku, byli wywożeni za Ural. Więc jeśli ktoś używał tego języka krótko jako dziecko, albo w ogóle nim nie mówił, to go nie zna.

Justyna Majerska: Najważniejsze, że jest spora grupa tujejszych dzieciaków i młodzieży, która chce się uczyć języka. Nie traktują go jak ciekawostki, ale jak element swojego dziedzictwa, swojej tożsamości. Zależy im, żeby język przetrwał, bo tak mówili dziadkowie.

T.K.: Wspomnianych 30 młodych ludzi uczących się języka to efekt naboru tylko w dwóch rocznikach. Myślałem, że ci słuchacze się wykruszą, ale stało się inaczej i nie mogłem zrobić nowego naboru, bo nie byłbym w stanie podolać temu zadaniu czasowo. Gdyby były fundusze na innych nauczycieli, pewnie byłoby więcej uczniów.

Istnieje też wersja pisana języka?

T.K.: Tak. Wilamowski ma nawet swoją gramatykę, opracował ją w 1921 roku prof. Adam Kleczkowski. Wilamowianie podróżowali po całej Europie i paradoksalnie najpiękniejsze teksty powstały w Trieście nad Adriatykiem. Są autorstwa Floriana Biesika, który właśnie tam w XIX wieku stworzył poemat, trochę jak *Boska komedia* Dantego, liczący kilkaset stron. Z nowszych czasów zachowały się listy, na przykład wysyłane do krewnych

w Wiedniu przez osoby wysiedlone po 1945 roku. Skany tekstów i inne dokumenty zostały udostępnione na stronie Uniwersytetu Adama Mickiewicza: www.inne-języki.amu.edu.pl. Znaleźć tam można utwory literackie w starej i nowej wersji oraz przetłumaczone na polski. A także nagrania w języku wilamowskim. Istnieje również literatura popularna, powstają teksty piosenek.

Po 1945 roku język wilamowski był zabroniony, miejscowa kultura niszczona, a rdzenni mieszkańcy wysiedlani. Kiedy i w jaki sposób nastąpił przełom?

T.K.: Niby w 1956 roku zniesiono zakaz mówienia po wilamowsku, ale formalnie nie został nigdy odwołany. Jednak to właśnie w okresie gomułkowskiej odwilży Wilamowianie* pokazali, że znają prawo i odebrali swoje domy, z których ich wcześniej wygnano. To był pierwszy przełom.

J.M.: W 1948 roku powstał zespół Wilamowice. Założyła go Jadwiga Bilczewska-Stanecka jako kontynuację zespołu z międzywojnia. Najpierw działał przy szkole, miał różny repertuar (w tym tańce radzieckie). Ale Stanecka zaczęła się zajmować działalnością etnomuzycologiczną, prowadziła badania i tworzyła archiwum. Na początku lat 60. zainteresowała Wilamowicami Cepelię. I nagle wzory, które były uznawane za germańskie, wręcz hitlerowskie, okropne, stały się... motywami ukraińsko-tureckimi. Zespół przeszedł pod patronat Cepelii, wkrótce zaczęto produkować chusty, serwetki, pasiaste kilimy, oparte na miejscowych wzorach. Równocześnie Wilamowianie mogli zakładać własne stroje. Co prawda nie wolno im było jeszcze śpiewać w swoim języku, ale starsze panie mówiły między sobą po wilamowsku. Chociażby o samym stroju, bo nie da się go inaczej opisywać – niektóre elementy nie mają nazw polskich.

T.K.: O kolejnym przełomie można mówić w latach 70. Zaczęto wtedy publicznie mówić o języku wilamowskim. Telewizja belgijska przygotowała nawet program, w którym mieszkańcy opowiadali między innymi o tym, że używanie ich języka było zabronione i że byli wysiedlani. W artykułach z tego czasu przeczytać można, że język wilamowski ginie z powodu... szkodliwego procesu globalizacji, który przyszedł z Zachodu.

W 1990 roku stworzono gminę Wilamowice (wcześniej miejscowość była administracyjnie samodzielna). Zmieniły się proporcje mieszkańców miasta i ludności całej gminy, a tym samym hierarchia potrzeb. W 1995 roku rozwiązano zespół Wilamowice, w jego miejsce powstał przy ośrodku kultury Fil-Wilamowice, który miał być reprezentatywny dla całej gminy.

J.M.: To był okres stagnacji. Etnografowie wspominają, że nawet na procesji Bożego Ciała, które jest najważniejszym świętem dla Wilamowian, strój się nie pojawił (w 1996 roku nie było ani jednego).

T.K.: Wtedy też powstała monografia gminy. Można odnieść wrażenie, że kultura Wilamowian została potraktowana na zasadzie: była, a teraz ją opiszę, zamknijmy i to już koniec. Znajdziemy tam na przykład stwierdzenie, że język wilamowski do końca XX wieku na pewno zaginie. Jest 2016 rok i na to się nie zanosi.



J.M.: To poruszyło ludzi, zebrali się i postanowili pokazać, że jest inaczej. W 2000 roku mieszkańcy zawiązali stowarzyszenie, które wskrzesiło zespół Wilamowice. W tym czasie Elżbieta Filip z muzeum w Bielsku-Białej zaczęła zajmować się strojem i zgromadziła wiele rzeczy, których dziś już by się nie zebrало. Ludzie zobaczyli, że muzeum się tym interesuje, więc pomyśleli, że może lepiej wziąć części strojów ze stodoły czy ze strychu do domu i jakoś je zachować.

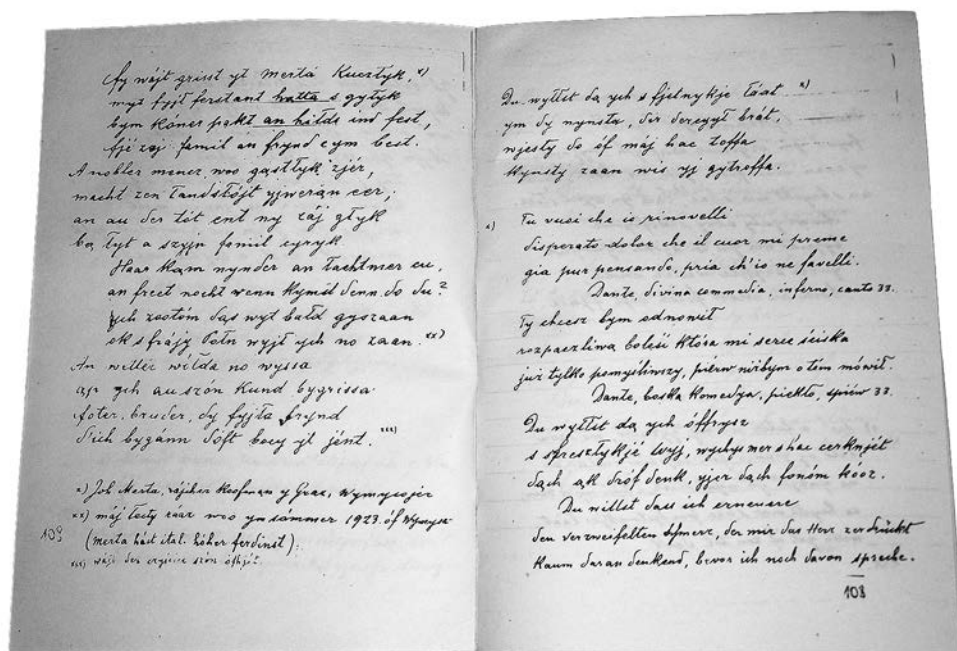
T.K.: Później my się tym zajęliśmy. Moja babcia miała sąsiadkę, która mówiła: Heła, jak mi jedno słowo po polsku powiesz, to ja już więcej do ciebie nie przyjdę! Babcia miała problem z chodzeniem, więc... musiała mówić

Na stronie poprzedniej:
Tymoteusz Król w rozmowie
z Wilamowiankami
📷 Archiwum Stowarzyszenia
Wilamowianie

Zespół Wilamowice na
wrocławskiej estradzie TKB
📷 Waldemar Kompała/
www.kocurzonka.pl



* Stosujemy zapis dużą literą, przyjmując stanowisko naszych rozmówców, że tekst dotyczy nie mieszkańców, ale grupy etnicznej.



Faksimile poematu
Floriana Biesika

po wilamowsku. Dzięki temu ja też mówię. Mówi Justyna – miała okazję posłuchać starego wilamowskiego, bo jej prababcia zmarła w wieku 100 lat.

Stowarzyszenie jest tą siłą, która dba, żeby język był upowszechniany, a prawda historyczna przywrócona?

T.K.: Skupiamy się na tym, żeby edukować młode pokolenie, ale nie na zasadzie: my wam mówimy, jaka jest prawda. Raczej sygnalizujemy pewne tematy. Jeśli ktoś chce więcej wiedzieć, może zapytać dziadków. Polepszają się przy tym relacje międzypokoleniowe. A jest wiele ciekawych i pozytywnych spraw, o których się nie mówi. Na przykład prawie nikt nie wie, że w Wiedniu jest plac Franza Gawlika, Wilamowianina, który był słynnym politykiem. Osobisty sekretarz Zygmunta III Wazy też miał wilamowskie korzenie. Kościół w Białej został zbudowany przez późniejszego jej burmistrza Baltazara Damka, który stąd pochodził. I tak dalej. Chcielibyśmy upowszechnić takie informacje, stąd nasze plany wydania opracowania naukowego na temat ostatnich 200 lat historii miasta oraz tzw. spacerownika, z ciekawymi opowieściami, legendami.

Jak stowarzyszenie jest postrzegane przez ludzi tutaj, w Wilamowicach?

J.M.: Niekiedy na zasadzie: działacie sobie, to działajcie. Ale troszeczkę byliśmy na początku niewygodni.

T.K.: My, to znaczy Justyna i ja, w stowarzyszeniu działamy od 2007 roku. Kiedy powstało, mieliśmy po siedem lat, trudno żebyśmy za tamten czas brali odpowiedzialność. Ale teraz Justyna jest prezesem od dwóch lat, od

czterech w zarządzie. Ja działam, choć niczym nie zarządzam. Z tego, co wiem, ludzie są bardzo zadowoleni z tych naszych działań. Cieszą się z tego, że są Wilamowianie, że sprawy języka i kultury są poruszane, że odbywają się spotkania, na które można przyjść.

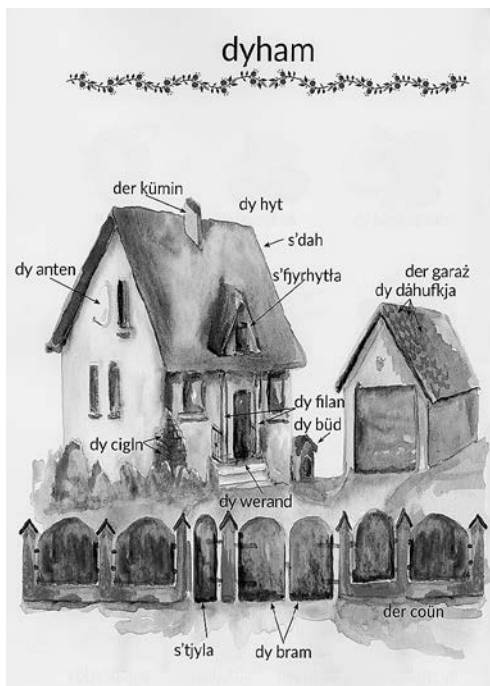
J.M.: Przynajmniej raz na dwa miesiące staramy się organizować otwarte spotkania o tematyce wilamowskiej. Trzeba na nie wynajmować pomieszczenie, bo przychodzi nawet po 150 osób, a to o wiele za dużo jak na salę, którą udostępnia nam gmina. Na co dzień staramy się pracować w miarę systematycznie. Na przykład praktycznie co tydzień odbywają się warsztaty szycia stroju wilamowskiego, zanikającej umiejętności. Starsze panie pokazują, jak ich matki to robiły. A uczą się dzieci z podstawówki czy gimnazjum. To przykład, jak się przyjmują projekty. Ten finansowany był dwa lata temu przez śląski Urząd Marszałkowski i trwał bodaj 8 miesięcy, a warsztaty odbywają się nadal. Ludzie się tak przyzwyczaili, że nie chcą przestać się spotykać. Nawet sobie materiały kupili, bo zabrakło funduszy. Dzięki temu mają też własne stroje.

T.K.: Wilamowice to miasto, w którym nie brakuje zaradnych ludzi. Mało jest inicjatyw ogólnych, dużo natomiast oddolnych. Wielu mieszkańców zapisało się do stowarzyszenia, chociaż niekoniecznie interesowali się kulturą wilamowską. Chcieli się spotykać, nie mieli żadnych konkretnych oczekiwań.

Rozbudziliście zainteresowanie Wilamowicami wielu środowisk. Nawiązaliście kontakty z różnymi ważnymi instytucjami, uniwersytetami...

T.K.: Najtrudniej być prorokiem we własnym kraju – często, kiedy wychodziliśmy z jakimiś inicjatywami, nie mieliśmy tu, na miejscu, wsparcia. Zwróciliśmy się więc o pomoc do Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz w kilka innych miejsc i dopiero kiedy te instytucje nas wsparły, nasze działania zostały docenione. Chcieliśmy oddolnie, a że nie wyszło, więc poprosiliśmy szeroki świat, żeby nam pomógł. Ale celem było i jest nasze lokalne środowisko. Ja się najlepiej czuję właśnie tutaj. Wcześniej słyszeliśmy: co tam po wilamowsku, tym się nie warto interesować. Ale kiedy do nas na przykład z Australii ktoś przyjechał! Pojawiła się myśl, że skoro ludzie ze świata interesują się naszymi tradycjami, to muszą być coś warte.

J.M.: Licznie i nieustannie odwiedzają Wilamowice wycieczki, w tym pielgrzymki do miejsca urodzenia świętego arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. W programie pobytu: godzinna lekcja wilamowskiego, prezentacja et-



nograficzna, trochę o historii i zwiedzanie miasta. Organizujemy wtedy spotkanie, znajdujemy salę i wyciągamy to wszystko, co mamy schowane w domach, w tym stroje. To z myślą o turystach i pielgrzymach udało nam się zrealizować we współpracy ze Stowarzyszeniem Pracownia Etnograficzna i Uniwersytetem Warszawskim „Etno-projekt.2.0” pod nazwą „#Wilamowice mówią”. Projektanci i etnografowie stworzyli serię promocyjnych gadżetów, gry językowe, zabawki, koszulki, a przede wszystkim trójjęzyczne (polskie, angielskie i wilamowskie) tablice informacyjne na wybranych obiektach. Niestety, projekt się zakończył, a my nadal nie mamy miejsca, by pokazać nasze skarby, za każdym razem od podstaw musimy tworzyć na poczekaniu muzeum dla zainteresowanej grupy.

T.K.: Naukowców mamy tu zatrzęsienie, miesięcznie może z piętnastu... Przyjeżdżają grupy seminaryjne z uniwersytetów, z Islandii, RPA, Australii, Danii, Meksyku... Naukowcy są zainteresowani ginącymi językami. Część robi doktoraty albo realizuje granty. Wiele jest takich, którzy współpracują z nami cały czas, na przykład dr Tomasz Wicherkiwicz z Poznania czy pracownicy i studenci Wydziału Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Władze tego Wydziału zapowiedziały właśnie, że dopóki nie będzie kolejnego grantu, wesprą finansowo rewitalizację języka wilamowskiego i wpisują to zadanie w swoje działania statutowe.

To, co robimy, jest też ważne dla nauki światowej. Wiele specjalistów tu przyjeżdża nie tylko dla samego języka wilamowskiego, badania jego struktur gramatycznych. Chcą przekonać się, jak działa rewitalizacja w takiej społeczności, jakie są nastroje ludzi, jak to jest robione. To

ma znaczenie dla rewitalizacji innych języków. Różne są przecież przypadki. Na przykład język łemkowski jest rozproszony po całej Polsce. Język nahuatl, który znalazł się w programie *Ginące języki. Kompleksowe modele badań i rewitalizacji*^{**}, na dużym obszarze. A nasz skupiony w jednym miejscu.

Na czym polega przywołana rewitalizacja języka wilamowskiego?

T.K.: Rewitalizacja to jest słowo, które może nieco wprowadzać w błąd. Tu nie chodzi o uczenie na nowo martwego języka. W Wilamowicach ten przekaz – choć utrudniony, a nawet zabroniony – nie został przerwany. Nie jest to więc język sztuczny, odtwarzany na nowo. Młodzi ludzie, którzy się go uczą, mają często za zadanie pójść do starszych osób i im w czymś pomóc. Przy okazji nawiązuje się rozmowa, która dla nich jest kształceniem językowym. Nawiązuje się też więź międzypokoleniowa, młodzi stwierdzają niejednokrotnie, że można z dziadkami czy starszymi sąsiadami fajnie porozmawiać.

Na pewno zdajecie sobie sprawę, że wasze stowarzyszenie jest ewenementem. Zwykle średnia wieku w tego typu organizacjach jest o wiele wyższa. Wy jesteście bardzo młodzi.

J.M.: I nie tylko my. Jest około 30 licealistów, którzy przychodzą z pomysłami, żeby coś zorganizować, tylko im pomagamy. Jest grupa 20, 30 osób w wieku 30+, również wychodząca z inicjatywami. I oczywiście są też starsi członkowie.

T.K.: Wzorem dla wszystkich organizacji może być to, jak w zespole regionalnym Wilamowice potrafią razem działać 5-latek z 80-latką. Są wśród nas osoby w każdym wieku i to w każdej grupie – w kapeli, wśród tańczących

Strony ze słownika
Ynzer jyŝty wyjtła



^{**} Zob.: www.revitalization.al.uw.edu.pl. „Projekt *Ginące języki. Kompleksowe modele badań i rewitalizacji* jest realizowany na Uniwersytecie Warszawskim, we współpracy z Instituto de Docencia e Investigación Etnológica de Zacatecas (IDIEZ) w Meksyku oraz Uniwersytetem Adama Mickiewicza w Poznaniu i Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie, jak również z udziałem Wired Humanities Project (University of Oregon, Eugene) i Universidad Autónoma de Tlaxcala. Przedmiotem badań są trzy zagrożone języki w dwóch krajach: nahuatl w Meksyku, łemkowski i wilamowski w Polsce”.



i śpiewających. Wszystkich członków jest 75. Świetnie się rozumieją. Często wnuki nawet lepiej dogadują się z dziadkami niż rodzicami.

Wasz ostatni przebój to spektakl *Hobbit. Hejn ăn cyryk*, przygotowany w języku wilamowskim.

Spektakl
Hobbit. Hejn ăn cyryk

📷 Archiwum
Stowarzyszenia Wilamowianie

J.M.: Przedstawienie pokazaliśmy pierwszy raz w lutym 2015 roku. Spektakl, bez żadnego słowa po polsku, powstał dla młodzieży szkolnej na Dzień Języka Ojczystego. Założeniem było, żeby osoby, które nie znają języka wilamowskiego, też mogły zrozumieć, o co chodzi. To dzieci wybrały *Hobbita*. W listopadzie zagraliśmy dru-



gi raz na spotkaniu podsumowującym „Etno-projekt”. I drugi raz sala była pełna, z pewnością oglądało nas ponad 200, a może i 300 osób. W połowie byli to przyjezdni, z Katowic, z Warszawy. Językoznawcy, tłumacze, etnolodzy, filolodzy, ludzie zainteresowani językami, a nawet grupa tolkinistów. Nawet w telewizji mówiło się o tym wydarzeniu, m.in. w *Teleexpressie*. Po spektaklu wywiązała się dwugodzinna dyskusja, ludzie chcieli się czegoś dowiedzieć z pierwszej ręki, zdobyć materiały do nauki języka. 26 lutego pokazemy przedstawienie w warszawskim Teatrze Polskim. W programie są także: koncert zespołu Wilamowice, wykład i warsztaty.

A jakie macie marzenia?

J.M.: Marzy nam się muzeum. Działamy, zbieramy eksponaty, ale brak nam przestrzeni, mamy do dyspozycji małe pomieszczenia, za małe. Bardzo przydałaby się stała ekspozycja, którą mogliby obejrzeć odwiedzający Wilamowice goście z Polski i z zagranicy. Na przykład we wrześniu w ramach projektu poświęconego badaniom nad ginącymi językami przyjadą do nas naukowcy z całego świata. Bardzo potrzebne byłoby wówczas miejsce, gdzie moglibyśmy im pokazać nasze bogactwo, naszą kulturę, nasz dorobek. Na początek chcielibyśmy mieć choćby pomieszczenia na magazyny. □



Tekst z okładki: Skiöekumt y Wymysoü – Witamy w Wilamowicach.

Justyna Majerska ma 22 lata. Skończyła etnologię i antropologię kulturową na UJ, a teraz studiuje zarządzanie kulturą, też na UJ. Od dwóch lat jest prezesem Stowarzyszenia Wilamowianie, od czterech lat działa w zarządzie. Jest też współautorką i ilustratorką słownika języka wilamowskiego pt. *Yn-zer jyŝty wyjtła*.

Tymoteusz Król: Wilamowianin, ma 22 lata. Obecnie studiuje etnologię na UW (wcześniej studia międzywydziałowe na UJ). Działa w Stowarzyszeniu Wilamowianie. W 2003 r. założył Koło Kultury Wilamowskiej dla dzieci. Na jego wniosek (2007) Biblioteka Kongresu USA uznała język wilamowski, a UNESCO umieściło go na mapie języków ginących. Od 2011 r. uczy wilamowskiego. Współautor kilku książek.

Żegnaj, Jasiu

– duszyczko kochana

Przez ludzi spoza branży takie „exposé” mogło zostać odebrane jego przejaw megalomanii artysty. Z kolei dla tych, którzy go znali, był to kolejny dowód wspaniałego poczucia humoru i dystansu wobec siebie. Inna rzecz, że przy zachowaniu wszelkich proporcji akurat on, jak mało kto, miał prawo do takich skojarzeń.

Dokładnie 10 lat temu najjaśniejszą gwiazdą Bielskiej Zadymki Jazzowej miał być amerykański duet Hank Jones – Joe Levano. Dosłownie w ostatniej chwili okazało się, że Levano nie dojedzie do Bielska-Białej, co wprowadziło organizatorów w stan uzasadnionej paniki, albowiem biorąc pod uwagę klasę nieobecnego, znalezienie godnego zastępstwa było co najmniej niełatwe. Padały różne nazwiska, ale ciągle coś było nie tak. W końcu nadredaktor Brodowski z „Jazz Forum” przypomniał, że przed laty na Jazz Jamboree słynny amerykański pianista zagrał w duecie z Januszem Muniakiem i potem bardzo go komplementował.

– OK. *I remember this Cat* – ucieszył się Hank Jones i w kilka godzin później festiwalowa publiczność rozkoszowała się koncertem z tych, których łatwo się nie zapomina. Całej tej historii znaczenia dodaje fakt, że od warszawskiego koncertu dzieliło go trzydzieści lat, więc zważywszy na wiek, Hank Jones miał prawo nie pamiętać skromnego saksofonisty z Polski, szczególnie że na co dzień grywał z muzykami tej miary, co Charlie Parker, Dizzy Gillespie, Ben Webster, Olivier Nelson, Art Farmer, Dexter Gordon, Donald Bird, Kenny Burrell, Illinois Jacquet, Red Mitchell czy choćby Ella Fitzgerald, Frank Sinatra, Nancy Wilson i wielu, wielu innych. Pikanterii dodaje jej jeszcze to, że to właśnie Hank Jones akompaniował Marylin Monroe, gdy wdzierając się do Johna Kennedy’ego, śpiewała mu *Happy Birthday, Mr. President*, o czym pamięta się do dzisiaj.

Jan Sebastian odszedł, Wolfgang Amadeusz też, Fryderyk nie żyje, a i ja jakoś kiepsko się dzisiaj czuję – taką oto przemowę Janusz Muniak uraczył publiczność, zaniepokojoną stanem, w jakim bardzo dawno temu wyszedł na scenę, po czym zagrał wspaniały koncert.

Hank Jones i Janusz Muniak,
Bielska Zadymka Jazzowa
2006
Henryk Malesa





*Żegnaj, Jasiu – duszyczko ko-
chana* – © Jarosław Krzysztof
Bem (Facebook).

Janusz Muniak urodził się w Krakowie, tam skończył średnią szkołę muzyczną i tam mieszkał przez większość swego życia. Tak jak Piotr Skrzynecki, Ewa Demarczyk czy Marek Grechuta jest symbolem i legendą tego miasta, o co zresztą nigdy nie dbał i nie zabiegał. Poważną karierę rozpoczął u boku Tomasza Stańki i Andrzeja Trzaskowskiego, a potem dzielił scenę ze wszystkimi wielkimi naszego jazzu, szybko stając się jednym z nich. Grywał z całą plejadą europejskich i amerykańskich gwiazd, często „kradnąc im show”. Był filarem dwóch historycznych projektów Jana Ptaszyna Wróblewskiego – Studia Jazzowego Polskiego Radia i Stowarzyszenia Popierania Prawdziwej Twórczości Chałturnik. Z tym ostatnim zespołem nagrał wiekopomny przebój *Kto tak pięknie gra*, w którym zaśpiewał kluczową frazę.

Muniak posiadał wszystkie atuty wybitnych saksofonistów: grał z niezachwianym swingiem i potrafił opowiadać historie (Jarosław Czaja – „JazzPress”, luty 2006). Wypracował sobie własne, eleganckie brzmienie, a w jego sposobie gry trudno było doszukać się fajerwerków i *grepsów*, którymi muzycy często kokietują słuchaczy. Kochał grać standardy, ale nie lubił uczyć się melodii i aranży – wolał je intuicyjnie ogrywać. Muzykę traktował bardzo osobiście, ale też z lekką „nonszalancją”, co czasem kończyło się zaskakującymi zwrotami akcji. Oto typowa dla niego wpadka: Pod koniec października minionego roku w Gdyni odbył się koncert *Illinois Jacquet In Memoriam*, w którym Munio, jako solista, miał zagrać *Stardust*. W pierwszym wejściu wszystko było w porządku, w drugim zagrał niespodziewanie *Body and Soul*, czym zaskoczył kompletnie nie tylko wspierających go na scenie muzyków. Gdy skończył, tak jak Michael Jordan po niewiarygodnym rzucie w meczu z Cleveland Cavaliers (1989), wykonał gest, w którym tyleż było przeprosin, co zdumienia, że coś takiego mu się przytrafiło.

Janusz Muniak bywał i grał wszędzie, ale nie bardzo chciał i potrafił dyskutować pozycję, jaką osiągnął dzięki ogromnemu talentowi i pogodnej osobowości. Pierwszy własny zespół założył dopiero, mając 35 lat. Zapewne z tej to też przyczyny w czasie liczącej przeszło pół wieku kariery nagrał tylko dziesięć autorskich płyt, choć jego saksofon, a czasem i flet, słychać na ponad stu krążkach innych artystów. Był liderem, mającym rękę do młodych wykonawców i świetnie się z nimi dogadywał, choć stronił od muzycznych eksperymentów. W pewnym sensie był konserwatystą i grał swoje. Bardzo nie lubił, gdy usiłowano mu narzucić inną wizję niż

tę, którą sobie wymyślił. *Stareńki, ja gram 50 lat, więc nie mów mi, jak mam to robić.*

Muniak długie lata z determinacją oddawał się urokom życia, prowadząc, jak sam to określał, *dogłębne badania naukowe, które miały odpowiedzieć na pytanie, czy jego mama miała rację, wbijając mu w młodości do głowy, że papierosy i alkohol to samo zło.* Oczywiście z tego tytułu wpadał czasem w tarapaty, które z wrodzonym sobie filozoficznym zacięciem, tłumaczył: *Organizm ci mówi nie pij; rozum, koledzy, żona mówi nie pij, a ty jak masz silną wolę, to i tak będziesz pił.*

W zasadzie, trzymając się narodowej tradycji, należałoby pominąć ów rys jego życiorysu, ale mniej więcej cztery dekady temu Janusz, dosłownie z dnia na dzień, zawiesił swoje badania naukowe i wytrwał w tym postanowieniu ponad ćwierć wieku. Przemiana ta budzi tym większy szacunek, że w miejsce szalonego tropiciela prawd oczywistych pojawił się serdeczny, w uroczy sposób zrządzający gospodarz klubu jazzowego U Muniaka na Starym Mieście, który stał się ulubionym miejscem wizyt muzyków z obu stron oceanu.

Ostatni raz widzieliśmy się na wspomnianym koncercie w Gdyni. Uzgodniliśmy wtedy, że latem zrealizujemy to, co nie udało nam się kilka miesięcy wcześniej. Chodziło o występ Janusza z triem Petera Beetsa, który miał być clou programu Sopot Molo Jazz Festival 2015. Pomysł zrodził się z szacunku Holendrów dla Hanka Jonesa i zachwytu Muniakiem po koncercie na Zadymce. Żadnemu z nas nie przyszło wtedy do głowy, że nigdy nie uda nam się zrealizować projektu, choć wszyscy tak bardzo się cieszyliśmy. Pamiętam, że na pożegnanie wykorzystałem znaczną przewagę wzrostu i pocałowałem go w czoło, czego nigdy wcześniej wobec nikogo nie robiłem. Obaj byliśmy zdziwieni tym spontanicznym gestem, który w trzy miesiące później nabrał zupełnie innego wymiaru. □

Marcin Jacobson

– animator kultury, menedżer, publicysta muzyczny.
M.in. autor książki *Rolling
Stones – Warszawa '67*
i zbioru wspomnień Marka
Karewicza *Big-beat*.

Małgorzata Kiereś
Małgorzata Słonka

Zapisując tropy

Wciąż przychodzi nam żegnać ludzi, którzy zostawili wyraźny ślad w historii swojej społeczności. Tylko od nas zależy, jak długo pamięć o nich będzie trwała. A że pamięć bywa ulotna, próbujemy ją wspomóc, zapisując tropy...



Kazimierz Urbaś (1947–2016)

Jo je Kazo Nędza-Urbaś – ta wypowiedziana identyfikacja brzmiała dumnie. Najważniejsza w jego życiu muzyczna przygoda to własna kapela Torka, legendar-na. *W moji kapeli grali wszyscy muzykancio, bo oni mieli u mnie staż* – wiele razy radośnie, z uśmiechem podkreślał.

Nie należy do łatwych zadań stworzenie portretu tego muzykanta. Nigdy nie wiadomo było, gdzie go szukać w wędrówce życia. Zwykle nikt nie zdążył zarejestrować, gdzie Kazo spał, gdzie grał, skąd i o której godzinie wracał do domu. Wybrał życie koczownika i włóczęgi, był przecież człowiekiem wolnym. Widział się w roli emisariusza muzycznego dla górali, cieszy-nioków, i w swoim wyborze był konsekwentny. Wybór tej drogi zapewniał mu życie pełne wydarzeń i wrażeń, chciałoby się dopowiedzieć językiem współczesnej młodzieży: dostarczał adrenaliny. Życie pełne doznań muzycznych, spotkań z ludźmi, których jednym swoim zawołaniem „Ho!” i już pierwszym dźwiękiem skrzypiec pozyskiwał. Żył bez zegarka, między Szczyrkiem, Wisłą, Warszawą, Katowicami, Zakopanem... Koncerty musiały być opóźnione, w końcu odległości przychodziło mu przemierzać w ciągu jednego wieczoru, tu grał bankowcom, tu w domu dziecka, by ostatecznie na balu góral-skim w Mostach Jabłonkowskich zostać do rana, przy-witać dzień i wschodzące słońeczko. Kazika dotknięcie skrzypiec było magiczne, próba dźwięku, potem ze-strojenie i nutki się już kulały, prosto z serca, jedyne, bo Urbasiowe, nie mogły inaczej brzmieć. Wybaczano mu wszystko, nawet życie bez zegarka, bo grał Kazik Urbaś!

Techniczna umiejętność, wydobywanie dźwięków, dociekliwość w odkrywaniu nowych sposobów interpretacji – oto prawdziwy Kazo, muzykant.

Każdy z nas ma własną hierarchię wartości, jest nam dany ten wybór. W hierarchii Kazika obok muzyki była zawsze miłość do drugiego człowieka, najpiękniejsze przykazanie z Mateuszowej Ewangelii było praktyczne: miłuj bliźniego swego jak siebie samego. W pełni z tego zdał egzamin, tak jakby już znał sentencję rzymskiego cesarza Marka Aureliusza: dopóki żyjesz, bądź dobry. Dobroć tę widzimy również w postawie rozdawania swojej muzykanckiej wiedzy wszystkim, postawie pedagoga i nauczyciela.

Rozmowa z Kazikiem o muzyce i muzykowaniu była prawdziwą uczcą duchową, miał swój pikantny język, często rubaszny, ale świat, ludzi i wszystkie rzeczy nazywał po imieniu. Kiedy doświadczał zła, niewdzięczności, przebaczał, machając ręką i z wrodzoną inteligencją potrafił z siebie zakpić. Był wobec siebie krytyczny, ale swoje muzykanctwo traktował jak świętość, jako sens swojego istnienia na ziemi, była to dla niego najważniejsza wartość, której pozostał wierny do końca swoich dni.

Wraz z Kazikiem odszedł świat, który pozostał jednak w naszych oczach. Pamiętam, jak o wpół do drugiej w nocy przyszedł prosić mojego ojca, by uszył mu *kyrpce...* na 8.00 rano. Pamiętam, jak wydłużała się jego droga z centrum Wisły na estradę w parku, 100 metrów, bo po drodze spotykał muzykantów z Detvy, Šariša, Terchovej, kolegów Madziarów i na scenę docierał spóźniony: *Wyboczcie, ludeczkowie. Musiołech z nimi zagrać, bo by nie pasowało!*

Kazimierz Urbaś przed występem na TKB w Wiśle
📷 Waldemar Kompała/
www.kocurzonka.pl

Małgorzata Kiereś

– etnograf, kierownik Muzeum Beskidzkiego w Wiśle, jurorka festiwali folklorystycznych, autorka tekstów w czasopismach i książkach.

Pięknie w swoich lapidariach moment odejścia człowieka określił Ryszard Kapuściński, pisząc, że człowiek nie odchodzi sam. Razem z nim znika ten świat, który tworzył on wokół siebie, który był jego przedłużeniem, ten odrębny, jedyny, unikalny mikroświat istniejący mocą tego człowieka na ziemi. Wraz ze śmiercią Kazika umiera więc coś jeszcze, coś więcej – zabiera Kazik ze sobą swój unikalny świat, ale w nas pozostaje pamięć, która może trwać. Nawet bowiem, jak śpiewają Buszmeni, kiedy umieramy i wiatr przychodzi tego dnia, by nas stąd wymieść, zatrzeć ślady naszych stóp, to nie zatrze pamięci. To jednak zależy już tylko od nas. Każdy z nas ma własny portret Kazika, cieszyńskiego, karpackiego muzykanta. I niech on w nas pozostanie. (M. Kiereś)

Czesław Olma (1954–2015)

„Jak w materialnej formie przedstawić zapach zboża, szum drzewa? Aby snuć takie rozmyślenia, trzeba być wrażliwym i bystrym obserwatorem przyrody” – pisała o Czesławie Olmie Krystyna Pieronkiewicz.

Przed wszystkim był rzeźbiarzem, choć próbował też drzeworytu, wykonywał maski. Rzeźby Czesława

Olmy są bardzo charakterystyczne, rozpoznawalne. Pełne dynamiki, ekspresyjne, zazwyczaj kolorowo malowane. Trudno było mu rozstać się ze swoimi dziełami, dlatego najulubieńsze zdobyły jego pokój i małą pracownię, a wszystkie starał się dokumentować i fotografować.

Czesław Olma urodził się w Hałcnowie, dziś leżącym w granicach Bielska-Białej, i tu przez całe życie mieszkał. Cieszył się opinią znakomitego, oryginalnego ludowego rzeźbiarza. Artystyczną przygodę rozpoczął jeszcze w latach szkolnych, kiedy to podjął się wykonania postaci Mikołaja Kopernika w kamieniu, co oczywiście było zbyt trudne dla dziesięcio-

latka. Drewno okazało się przychylniejszym surowcem. Z czasem oddanie się tej pasji stawało się coraz większą wewnętrzną potrzebą.

Na jego dorobek składają się rzeźby pełnoplastyczne i płaskorzeźby, pojedyncze figury i kompozycje wielopostaciowe, często wielopoziomowe. Przestrzenne rozwiązanie bryły, dopracowanie szczegółów, dobranie kolorystyki było efektem dokładnych przemyśleń. Jak to bywa w twórczości ludowej, czy ludowością inspirowanej, przeważała tematyka sakralna: przede wszystkim Madonny, oczywiście postacie Chrystusa i świętych, a także aniołów, niekiedy w formie kapliczek. Rzeźbił także obrzędowe szopki, wykonywał zabawki. Odnaleźć w jego dorobku można dzieła odzwierciedlające wielorakie zainteresowania, nawiązujące do demonologii, obrzędowości, tematyki społecznej, politycznej, obyczajów wiejskich. Są postacie literackie i historyczne. Obok powagi i podniosłości, jest też ciętość dowcipu. Bogata wyobraźnia Czesława Olmy czerpała inspiracje z lektur, baśni, legend, a także przyrody. Nieobca była mu głębsza refleksja nad światem, życiem, własnym istnieniem.

Rzadko brał udział w konkursach, choć zdobywał liczne nagrody w początkowym okresie twórczości. Z czasem wołał realizować własne wizje, a nie spełniać oczekiwania innych, i był w tym konsekwentny. Rzadko też uczestniczył w wystawach. Brał udział m.in. w prezentacjach twórczości ludowej województwa bielskiego, ekspozycjach tematycznych i pokonkursowych, z czasem jednak ograniczył aktywność w tym zakresie. Kiedy nadeszła wiadomość o jego śmierci, w grudniu 2015 roku, w Galerii Sztuki ROK-u trwała wystawa rzeźby przygotowana przez Oddział Beskidzki STL, a Czesław Olma, który od dawna nie pokazywał swoich prac, był jej uczestnikiem. To właśnie w tej galerii odbyła się jego pierwsza indywidualna wystawa w 1996 roku.

Prace rzeźbiarza znajdują się w zbiorach muzeów w Bielsku-Białej, Katowicach i Łęczycy oraz w kolekcjach prywatnych w Polsce i na świecie. Nazwisko Olmy odnaleźć dziś można także w internetowej Encyklopedii Teatru Polskiego, bowiem rzeźby jego autorstwa współtworzyły scenografię dwóch widowisk w bielskim Teatrze Lalek Baniałuka: *W nicość śniąca się droga* wg B. Leśmiana i *Pastorałki* T. Czyżewskiego (oba w reżyserii Marii Schejbal). Prowadził warsztaty edukacyjne dla młodzieży, uczestniczył np. w projekcie Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej „Jak powstaje dzieło”, współpracował z Teatrem Grodzkim. Był członkiem Stowarzyszenia Twórców Ludowych (od 1984). (M. Słonka)

Czesław Olma prowadzi
warsztaty rzeźby
📷 Aleksander Dyl



18 listopada w Regionalnym Ośrodku Kultury odbyła się promocja książki *Józef Szczotka (1893–1965) – piewca góralszczyzny*, autorstwa Władysława Motyki. Publikacja poświęcona jest postaci społecznika i artysty, legionisty, nauczyciela, działacza Związku Podhalan i promotora góralszczyzny żywieckiej w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej. W narrację wplecione są fragmenty jego sztuk scenicznych, góralskie przyspiewki i godki, których był niezrównanym mistrzem. Ostatnia część książki poświęcona jest jego spuściźnie i wpływowi, jaki wywarł na swoich kontynuatorów. Pozycja, wydana w formie albumu, zawiera bogaty wybór unikatowych fotografii, w większości publikowanych po raz pierwszy. Całość uzupełniają zapisy nutowe pieśni oraz płyta CD z zachowanymi archiwalnymi nagraniami Józefa Szczotki i jego zespołu. Nagrania z lat 50. i 60. XX wieku pochodzą ze zbiorów fonograficznych Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk i archiwum rodziny. Ilustracjami są fotografie Miłówki autorstwa ks. Henryka Hubnera z 1951 roku. Publikacja została wydana przez Beskidzkie Towarzystwo Oświatowe w Miłówce dzięki dofinansowaniu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Podczas promocji wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Ziemia Beskidzka z Mesznej.

Jedną z największych postaci światowego jazzu, saksofonista i kompozytor **Branford Marsalis** był gwiazdą jubileuszowej edycji BMW Jazz Club. Premierowe koncerty noszące tytuł *Bezgranicznie* odbyły się w trzech miejscach: Bielskim Centrum Kultury (3 grudnia 2015), Teatrze Wielkim w Warszawie (4 grudnia), Filharmonii im. M. Karłowicza w Szczecinie (7 grudnia). Branford Marsalis oraz polscy muzycy interpretowali polską muzykę: klasyczną, jazzową, ludową. Pomysłodawcą koncertu był Marcin Kydryński, który przywozi do Bielska-Białej wielu artystów światowej klasy. Zaśpiewała Anna Maria Jopek, która czuwała również nad artystyczną stroną projektu. Jazzowy superband współtworzyli: Marcin Wasilewski, Maria Pomianowska, Adam Strug, Robert Kubiszyn, Pedro Nazaruk, Atom String Quartet i Mino Cinelu (w Teatrze Wielkim także Stanisław Soyka).

14 grudnia w Kinoteatrze Rialto w Katowicach wręczono doroczne **Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego** w dziedzinie kultury. Nagrody artystyczne otrzymali: Roman Kalarus – artysta plastyk, Przemysław Strączek – gitarzysta jazzowy, kompozytor, aranżer, pedagog, oraz Ryszard Sypniewski – aktor bielskiego Teatru Lalek Białulka. Nagrodą za upowszechnianie i ochronę dóbr kultury marszałek uhonorował: Romana Gatysa – kolekcjonera śląskiej porcelany, Mariana Oslisłę – profesora zw. katowickiej ASP i ks. Tadeusza Palucha – animatora kultury, miłośnika tradycji regionalnych. Laureatami wśród młodych twórców (do 35 roku życia) zostali: Przemysław Ficek – multiinstrumentalista, współzałożyciel i kierownik kapel ludowych z regionu Beskidu Żywieckiego, Ewa Odyjas – architektka i urbanistka, Edyta Ostojak – aktorka Teatru Zagłębia w Sosnowcu. Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków nagrodzono: Danutę Skrzypczyk – w zakresie konserwacji i restauracji papieru i skóry zabytkowej, oraz Wojciecha Mszycę – kolekcjonera, badacza historii zabytków i popularyzatora ich ochrony.

9 stycznia w Domu Muzyki BCK Prezydent Miasta Bielska-Białej wręczył swoje doroczne nagrody w dziedzinie kultury i sztuki. Nominacje za szczególne osiągnięcia w roku 2015 otrzymali: Dagmara Włoszek – debiutująca aktorka Białulki, Mirosław Mikuszewski – artysta plastyk, prezes Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków w Bielsku-Białej. Ikara zdobyli w tej kategorii **Katarzyna i Maciej Szymonowiczowie** – muzycy, twórcy artystycznego graffiti. Nagrodę przyznano im za książkę *Gajdosze*, będącą efektem dwuletnich badań nad najdawniejszą formą kapeli góralskiej Beskidu Śląskiego i Beskidu Żywieckiego. Nominacje za wybitną dotychczasową działalność: Barbara Nachajska-Brozek – artystka tworząca w tkaninie, Rafał Butor – nauczyciel historii, organizator Konkursu Wiedzy o Bielsku-Białej, Agata Fender – dyrygentka chóru działającego przy ewangelicko-augsburskim kościele Zbawiciela, Tomasz Lorek – aktor Teatru Polskiego, Jarosław Grzybowski – perkusista, aranżer, dyrygent. Zaś Ikara zdobył **Lizard**, zespół wpisujący się w szeroko rozumiany nurt rocka progresywnego. Obecnie tworzą go: Damian Bydliński (śpiew, gitara), Janusz Tanistra (gitara basowa), Daniel Kurtyka

(gitara), Paweł Fabrowicz (instrumenty klawiszowe) i Mariusz Szulakowski (perkusja). Dyplomem uhonorowany został Dziecięcy Chórek Pinokio z Domu Kultury w Komorowicach. Dobrodzieje Kultury 2015 to: FCA Poland SA, NemaK Poland i Bank Polska Kasa Opieki SA.

19 stycznia w Książnicy Beskidzkiej **Marek Bernacki**, profesor i dziekan Wydziału Humanistyczno-Społecznego Akademii Techniczno-Humanistycznej, promował swoją książkę *Świat interpretować – konieczne zadanie. Studia o literaturze polskiej przełomu XX i XXI wieku*. Spotkanie prowadził prof. Artur Żywiełek. Książka obejmuje kilkanaście tekstów interpretacyjnych poświęconych ważnym utworom poetyckim, epickim i eseistycznym klasyków współczesnej literatury polskiej: Jerzego Stempowskiego, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza, Jarosława Iwaszkiewicza, Anny Kamińskiej, Karola Wojtyły, Wisławy Szymborskiej, Urszuli Koziół, Ryszarda Krynickiego, Jerzego Pilcha, Andrzeja Stasiuka, Piotra Szewca, Mariusza Szczygła, Wojciecha Kudyby.

Papierowy świat. Wybrane plakaty teatralne 1945–2015 to tytuł wystawy otwartej 14 lutego, przygotowanej przez Galerię Środowisk Twórczych oraz Związek Polskich Artystów Plastyków w Domu Muzyki BCK. Wystawa prezentowała dorobek polskich artystów od lat 40. XX wieku po dzień dzisiejszy, m.in. Hannę Bakulę, Eugeniusza Geta-Stankiewicza, Michała Klisia, Jana Lenicy, Jana Młodożeńca, Jana Sawki, Franciszka Starowiejskiego, Leszka Żebrowskiego. *Plakaty dzięki swojej oryginalności i atrakcyjności docierają do szerokiego grona odbiorców, nawet do tych, którzy danej produkcji teatralnej nigdy na scenie nie zobaczą. Początkowo zwykłe draki reklamowe, z czasem, dzięki niebywałemu rozwojowi artystycznemu, zostały nobilitowane do rangi dzieł sztuki, chętnie gromadzone w zbiorach kolekcjonerów prywatnych, bibliotek i instytucji publicznych oraz wystawiane przez galerie i muzea* – pisał w tekście informacyjnym o wystawie Krzysztof Dydo.

(oprac. ms)

BIELSKO-BIAŁA

Ewa Zawadzka *Materia ciszy*

26 lutego – 28 marca, Galeria Bielska BWA
Informacje: Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11,
tel. 33-812-58-61, www.galeriabielska.pl,
info@galeriabielska.pl

Indywidualna wystawa prac Ewy Zawadzkiej: obrazów, grafik i fotografii z lat 2003–2015. Artystka jest absolwentką Wydziału Grafiki w Katowicach ASP w Krakowie (dyplom 1975 w pracowni prof. Andrzeja Pietscha). Obecnie jest wykładowcą ASP w Katowicach, gdzie prowadzi Pracownię Działań Multigraficznych.

Prawdziwe malarstwo. Żegalski

19 lutego – 1 kwietnia, Stara Fabryka
Informacje: Muzeum Historyczne – Oddział Stara Fabryka, pl. Żwirki i Wigury 8, tel. 33-812-44-00,
www.muzeum.bielsko.pl,
piotr.kenig@muzeum.bielsko.pl

Wystawa malarstwa wielkoformatowego Leszka Żegalskiego, tworzącego pod pseudonimem Maestro Żegalski. Artysta świadomie nawiązuje do najlepszych tradycji malarstwa europejskiego, jednocześnie tworząc dzieła na wskroś nowoczesne, nierzadko stanowiące jego osobisty komentarz do aktualnej rzeczywistości. Urodził się w Cieszynie (1959). Studiował w ASP w Krakowie, początkowo (od 1979) na Wydziale Grafiki w Katowicach, a następnie (od 1982) w Krakowie. Dyplom uzyskał w 1984 r. Mieszka w Niemczech, Belgii i w Polsce. Uprawia malarstwo sztalugowe, plafonowe i fresk.

3 Festiwal Słowa „Razem w chmurach poezji”

8–10 marca, Dom Kultury w Lipniku
Informacje: MDK w Bielsku-Białej – Dom Kultury w Lipniku, ul. Podgórna 29, tel. 33-816-17-80,
www.mdk.beskidy.pl, mdklipnik@gmail.com
Na festiwal składają się trzy turnieje: 5 Międzyszkolny Konkurs Mistrz Pięknego Czytania (dla szkół podstawowych i gimnazjum), Turniej Recytatorski (konkurs recytatorski i „wywiedzione ze słowa”) oraz Przegląd Piosenki Artystycznej. Organizatorzy: Dom Kultury w Lipniku, Gimnazjum nr 4 oraz Towarzystwo Nauczycieli Bibliotekarzy Szkół Polskich Oddział w Bielsku-Białej.

27 Międzynarodowy Festiwal Sztuki Lalkarskiej
18–22 maja

Informacje: Teatr Lalek Banialuka im. J. Zitzmana, ul. A. Mickiewicza 20, tel. 33-812-33-94,
festiwal@banialuka.pl, www.banialuka.pl
Festiwal odbędzie się dokładnie 50 lat od momentu swego powstania. Na bielskich scenach obejrzymy około 20 przedstawień dla dzieci, młodzieży i dorosłych prezentowanych przez teatry z kilkunastu krajów świata (m.in. Belgii, Czech, Słowacji, Litwy, Niemiec, Hiszpanii, Holandii, Słowenii, Rosji), które w artystyczny sposób opowiadają o ważnych wyzwaniach współczesności. Wszystkie przedstawienia należą do szeroko rozumianego teatru plastycznego, a zastosowane w nich środki wyrazu często balansują na granicy różnorodnych gatunków i form artystycznych. Podczas festiwalu odbywać się będą liczne imprezy towarzyszące: wystawy, projekcje filmów, warsztaty.

CIESZYN, CZESKI CIESZYN

18 Przegląd Filmowy „Kino na Granicy”
28 kwietnia – 3 maja, Cieszyn, Czeski Cieszyn
Informacje: Stowarzyszenie Kultura na Granicy, ul. K. Szymanowskiego 5/9, tel. 604-721-427,
www.kinonagranicy.pl, biuro@kinonagranicy.pl
W programie przeglądu znajdą się retrospektywy (reżyserskie: Ladislav Helge, Grzegorz Królikiewicz, Dušan Trančík; aktorskie: Anna Geislerová, Agata Kulesza, Magda Vášáryová), cykle tematyczne (*Łódź po Olsie* – retrospektywa Szkoły Filmowej w Łodzi, *Osiemnastka na osiemnastkę* – filmy o dojrzewaniu, dorastaniu i pierwszych miłościach, *Parno nie porno*, *Dybuki i demony*), a także nowe filmy polskie, czeskie i słowackie, koncerty, wystawy itd.

PSZCZYNA

Jubileusz 70-lecia Muzeum Zamkowego
maj, Muzeum Zamkowe
Informacje: Muzeum Zamkowe, ul. Brama Wybrańców 1, tel. 32-210-30-37,
www.zamek-pszczyna.pl,
kancelaria@zamek-pszczyna.pl
W maju 2016 roku przypada 70. rocznica powstania Muzeum. Z tej okazji dla zwiedzających zaplanowano liczne atrakcje nawiązujące do dawnej kultury, obyczajów i zabaw dworskich.

RUDZICA

Dzień Stracha Polnego
28 maja, Filia Gminnego Ośrodka Kultury
Informacje: Gminny Ośrodek Kultury w Jasienicy 1360, tel. 33-821-20-56, www.gokjasienica.pl,
gok@jasienica.pl
Impreza organizowana wspólnie z Galerią Autorską Pod Strachem Polnym Floriana Kohuta. W programie m.in.: konkurs na stracha polnego, korowód strachów, koncerty zespołów, kiermasz, wystawy.

USTRÓŃ

18 Ustrońskie Spotkania Teatralne
14–19 marca, Miejski Dom Kultury Prażakówka
Informacje: MDK Prażakówka, ul. I. Daszyńskiego 28, tel. 33-854-29-06,
www.mdk.ustron.pl, mdk@ustron.pl
Anna Seniuk i Grzegorz Małecki, Piotr Polk i Piotr Szwed, Viola Arlak i Tadeusz Chudecki pojawiają się w spektaklach teatralnych podczas tegorocznych UST. W programie także występy laureatów 11 Miejskiego Przeglądu Amatorskich Zespołów Teatralnych.

ŻORY

12 Ogólnopolski Przegląd Chórów Kościelnych Pieśni Pasyjnej i Pokutnej
12 marca, kościół pw. Świętych Apostołów Filipa i Jakuba
Informacje: Parafia pw. Świętych Apostołów Filipa i Jakuba, ul. Garncarska 16, tel. 604-185-073,
www.pasyjne.zory.pl, pasyjne.zory@interia.pl
Przegląd ma charakter ekumeniczny. Główną nagrodą jest pozłacana Pieta.

Więcej informacji o imprezach w województwie śląskim na stronie: silesiakultura.pl

Witold Jacyków

Ludzie i fantomy Fotografia

Witold Jacyków, profesor sztuk filmowych. Kieruje Pracownią Fotografii w Instytucie Sztuki na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Należy do Związku Polskich Artystów Fotografików.

Zajmuje się fotografią nawiązującą do tradycji piktorializmu. Problematyka jego zdjęć jest efektem obserwacji i rejestrowania zaskakujących kontekstów wizualnych i znaczeniowych pomiędzy zdarzeniami w codziennym życiu. Pierwotnym zapisom fotograficznym nadaje wymiar symbolicznych obrazów. Tematyka to akty, podróże koleją, obiekty morskie, ludzie i ich otoczenie, a także wymaginowane światy przedmiotów tworzone w studiu fotograficznym.

Prezentowane zdjęcia pochodzą z projektu pt. *Ludzie i fantomy*, inspirowanego problemem uprzedmiotowienia człowieka, obecnym coraz bardziej we współczesnej kulturze. Z własnej woli lub bez niej wciągani jesteśmy w grę interesów, których wyrazem są m.in. ludzkie wizerunki, przedstawiane jako nośniki lansowanych walorów rynkowych albo ideologicznych. Świat autentycznych wartości humanistycznych pomieszanych z szeroko rozumianymi komercyjnymi substytutami stanowi na gruncie wizualnym ogromne pole do penetracji fotograficznych. Zwłaszcza intrygujące jest odkrywanie tak zwanego drugiego dna znaczeń w „niewinnych” obrazach prozaicznej rzeczywistości, które odczytane w innym kontekście zaskakują, drażnią czy zdumiewają.



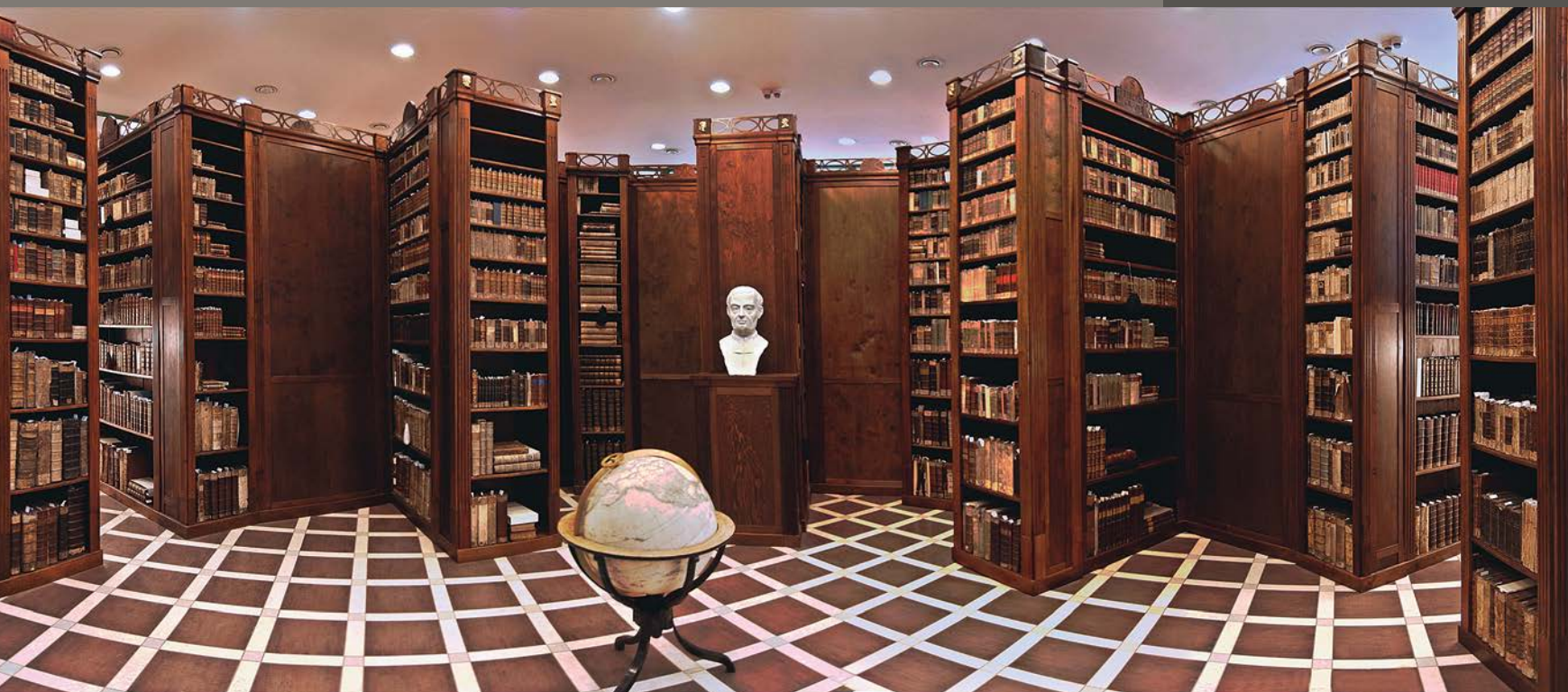




Powołana w 1994 r. Książnica Cieszyńska jest miejską instytucją kultury, posiadającą status biblioteki naukowej. W skład jej zbiorów, zaliczonych na podstawie Rozporządzenia MKiDN z 1998 r. do Narodowego Zasobu Bibliotecznego, wchodzi kilka kolekcji książkowych, które powstały lub były przechowywane na terenie Cieszyna w ciągu ostatnich ponad 200 lat, ale zawierają fragmenty wcześniejszych kolekcji bibliecznych z terenu Śląska Cieszyńskiego, swoim rodowodem sięgających niekiedy średniowiecza. W zasobach biblioteki znajduje się ponadto wiele, pochodzących głównie z XIX i pierwszej połowy XX wieku, pozostałości cieszyńskich bibliotek prywatnych i instytucjonalnych. Wszystkie zespoły wchodzące w skład Książnicy liczą ogółem 23 620 jednostek starych druków, około 130 000 woluminów dzieł drukowanych wydanych po 1800 r. oraz 18 000 jednostek ewidencyjnych rękopisów. Pozostając ściśle związane z dziejami i kulturą Śląska Cieszyńskiego, stanowią one zarazem istotny składnik uniwersalnego dziedzictwa kultury.



Anna Fedrizzi-Szostok



Książnica Cieszyńska

ul. Mennicza 46
43-400 Cieszyn
tel.: 48 33-851-38-41

e-mail: ksiaznica@kc-cieszyn.pl
witryna biblioteki: www.kc-cieszyn.pl
zasoby cyfrowe: www.sbc.org.pl/dlibra/collectiondescription?dirids=110

Biblioteka ks. Leopolda Jana Szersznika, wyeksponowana jest w siedzibie Książnicy Cieszyńskiej w pierwotnym porządku i na oryginalnych regałach pochodzących z 1801 r.
Piotr Broda – CTF